

STANISŁAW GIBASIEWICZ

FUNDACJA ZAKŁADY KÓRNICKIE  
PO WYZWOLENIU (LUTY – WRZESIEŃ 1945)

## WSPOMNIENIA

## 1. O FUNDACJACH WIELKOPOLSKICH PRZED WOJNĄ

W okresie międzywojennym tylko przez przypadek zetknąłem się ze sprawami fundacyjnymi, w tym także Fundacji Zakłady Kórnickie. Mianowicie w r. 1935 lub 1936 do Rektoratu Uniwersytetu Poznańskiego — jeszcze nie im. Adama Mickiewicza — wpłynęły w niewielkim odstępie czasu przez omyłkę (celową?) adresującego dwa pisma Banku Gospodarstwa Krajowego, z których wynikało bardzo duże zadłużenie ustanowionej przez Heliodora Świąćckiego fundacji „Nauka i Praca”, obejmującej majątek ziemski Laski w powiecie kępińskim.

Ówczesny rektor prof. dr Stanisław Runge zaniepokoił się, czy Uniwersytet nie jest w tym w jakiś sposób zaangażowany i polecił dr. Tadeuszowi Rakowskiemu, kierownikowi Sekretariatu (tzw. sekretarzowi generalnemu), i mnie, referendarzowi Rektoratu, sprawę zbadać. Dr Rakowski był lwowianinem, w Poznaniu dopiero od r. 1933, więc słabo znającym środowisko. Za to miał rozległe kontakty wśród urzędników, rekrutujących się podówczas przeważnie z Małopolski. Ja zaś jako tako znałem majątek Laski, gdyż we wrześniu 1918 r. zostałem tam wysłany w grupie 30 uczniów gimnazjalnych — w tym tylko 2 Polaków — do pomocy przy jesiennych robotach rolnych (Landwirtschaftlicher Hilfsdienst).

Bytowałem tam w warunkach tak fatalnych, że już do Lasek nie wróciłem, gdy po trzech tygodniach mogłem wyjechać do domu na urlop niedzielny. Ta dezercja uszła mi bezkarnie tylko dzięki temu, że tuż potem wybuchła straszliwa epidemia grypy „hiszpanki”, która szczególnie dotknęła nasz dom. Prawie równocześnie załamało się południowo-wschodnie skrzydło mocarstw centralnych, nastąpił rozpad Austro-Węgier i niebawem rewolucja niemiecka.

W każdym razie poznałem Laski wystarczająco, aby wiedzieć, że majątek ten miał ponad 2000 ha ziemi, był na najwyższym poziomie kultury rolnej i miał wszelkie ówczesne urządzenia techniczne. Wiedziałem też, że krótko po wojnie kupił go Heliodor Świąćcki od Freiherr von Loescha i stworzył zeń fundację „Nauka i Praca”. Jeżeli majątek miał długi hipoteczne lub inne, to pochłonęła je dewaluacja lat 1921 - 1924. Ogromne zadłużenie fundacji było zatem niezrozumiałe, nawet po uwzględnieniu strat spowodowanych kryzysem gospodarczym lat 1929 - 1935.

Wspólnie z dr. Rakowskim stwierdziliśmy:

1) że sytuacja prawna fundacji w ogóle na terenie b. zaboru pruskiego nie była jasna, gdyż dekret naczelnika państwa ze stycznia 1919 r. o fundacjach, jeden z pierwszych aktów ustawodawczych po odrodzeniu Polski, dotyczył tylko b. zaborów austriackiego i rosyjskiego. Obowiązujące jeszcze w Poznańskim §§ 80 - 88 niemieckiego kodeksu cywilnego regulowały tylko niektóre zagadnienia fundacji, zwłaszcza sprawy cywilnoprawne, natomiast w dziedzinie publicznoprawnej stosowano jeszcze różne stare przepisy pruskie, częściowo nawet z XVIII wieku.

2) że nadzór nad fundacjami sprawował Urząd Wojewódzki, a było tych fundacji bardzo wiele. W każdym chyba mieście i miasteczku i w wielu wsiach parafialnych istniały drobne fundacyjki, których celem była opieka społeczna lub szpitalnictwo. Wiele z nich było związanych z instytucjami kościelnymi. Niektóre z nich początkami swymi sięgały średniowiecza, toteż nic dziwnego, że ich zasób majątkowy był już niewielki.

3) że statut fundacji „Nauka i Praca”, spisany przez Heliodora Święcieckiego i zatwierdzony przez wojewodę, był krótki:

określał majątek fundacji, jako jej cel ustanawiał popieranie pracy naukowej i wyznaczał Cyryla Ratajskiego, długoletniego prezydenta m. Poznania, na jej kuratora z nieograniczonymi uprawnieniami. Wicekuratorem był prof. dr Adam Wrzosek, którego jedynym uprawnieniem było zastępowanie kuratora w razie choroby lub dłuższej nieobecności. On też miał objąć kuratorstwo po śmierci kuratora z obowiązkiem wyznaczenia wicekuratora. W wypadku, gdyby kurator zmarł nie wyznaczwszy zastępcy, nowego kuratora i jego zastępcę miał wybrać Senat Uniwersytetu Poznańskiego. Było to jedyne uprawnienie Uniwersytetu w stosunku do „Nauki i Pracy”. Urząd Wojewódzki Poznański nie dokonał tam przedtem żadnej kontroli [...].

Badanie problemów „Nauki i Pracy” automatycznie ożywiło zainteresowanie Rektoratu innymi fundacjami, mającymi coś wspólnego z nauką i nauczaniem. Szczególnie prof. dr Antoni Peretiatkowicz, objąwszy urząd rektora jesienią roku 1936, po upływie kadencji rektora Runego, uważał to za konieczne, ponieważ mogło się okazać, że Uniwersytet nie wykorzystuje przysługujących mu uprawnień i mogą powstać z tego powodu zarzuty. Zebrałem przeto podstawowe informacje o większych fundacjach z terenu województwa poznańskiego:

1) Najbardziej znaną była Fundacja Zakłady Kórnickie oparta na ustawie sejmowej z dn. 30 VII 1925 o Zakładach Kórnickich (Dz. U. R. P. nr 86/25 poz. 592). Mój przyjaciel Jan Baumgart, wtedy bibliotekarz w poznańskiej Bibliotece Uniwersyteckiej, wyszukał kilka drukowanych sprawozdań rocznych tej fundacji. Przedstawiały one w sposób wystarczająco jasny stan gospodarczy tej instytucji, jej pracę, trudności i sukcesy, a także jej świadczenia na rzecz nauki, kultury i wychowania. To i skład osobowy władz Fundacji nie nastęczał obaw czy wątpliwości co do jej działalności. Było też widoczne, że Uniwersytet nie ma tam żadnych formalnych uprawnień, a może wpływać na jej sprawy jedynie przez swoich profesorów, zasiadających w jej władzach.

Zupełnie już prywatnie zwiedziłem w tym czasie z żoną zamek i park w Kórniku

(pierwszy raz byłem tu — ale nie w zamku — w r. 1920 lub 1921 z okazji zjazdu harcerskiego w Babkach). Nie było wtedy jeszcze powszechnego szalu turystycznego. Prócz nas nie było innych zwiedzających, znalazł się więc czas na pogawędkę z oprowadzającym nas mężczyzną (był to zapewne p. Stanisław Małecki). M. in. dowiedziałem się, że dość często przyjeżdża do Kórnicka na kontrolę jeden z wyższych urzędników kancelarii cywilnej prezydenta R. P. Wiadomość ta rozproszyła resztę obaw rektora Peretiatkowicza, jeżeli jeszcze jakieś miał.

2) Informacje zebrane o fundacji rydzyskiej im. Sułkowskich nie dawały podstaw do zainteresowania ze strony Uniwersytetu. Celem tej fundacji było kształcenie na poziomie szkoły średniej i wychowanie młodzieży szczególnie zdolnej. Była kierowana przez ludzi właściwych, w tym jednego z profesorów U. P.

3) Klucz smogulecki w powiecie wągrowieckim stanowił fundację na rzecz wyższych uczelni warszawskich; jeżeli mnie pamięć nie myli obdarzonymi były uniwersytet i politechnika, które też fundacją zarządzały. Fundator, bezdzietny hr. Bogdan Hutten-Czapski, chciał pierwotnie, ok. 1921 r. majątki te darować Uniwersytetowi Poznańskiemu, ale Senat darowiznę tę odrzucił. Rektor Peretiatkowicz znał tę sprawę bardzo dobrze, wskutek czego jej bliżej nie badałem. Przyczyną negatywnego stosunku władz Uniwersytetu do propozycji Hutten-Czapskiego była jego osobista przyjaźń z Wilhelmem II. Uczelnie warszawskie takich skrupułów nie miały, postępując rozsądnie i słusznie z każdego punktu widzenia. Oczywiście, w r. 1976 widzimy te rzeczy inaczej, niż patrzeli na nie mieszkańcy b. zaboru pruskiego zaraz po odzyskaniu niepodległości.

4) Jeszcze świeższej daty była Fundacja Potulicka na rzecz duchownego seminarium zagranicznego, o ile dobrze pamiętam. Zarządzał nią w każdym razie arcybiskup gnieźnieńsko-poznański, w owym czasie kardynał August Hlond.

Na tych stwierdzeniach skończyło się moje zainteresowanie fundacjami na okres kilku lat.

## 2. W CZASIE OKUPACJI

Po wybuchu wojny i odbyciu nieszczęsnej podróży ewakuacyjnej byłem przez rok bezrobotny, oczywiście wyrzucony z mieszkania, pozbawiony wszelkiego mienia ruchomego itd. Następnie przez prawie dwa lata byłem motorowym tramwajowym. W tym to czasie jeden z kolegów tramwajarzy opowiadał o rozstrzelaniu w początkach okupacji na rynku kórnickim kilkunastu Polaków, a wśród nich Antoniego Pacyńskiego, dość szeroko znanego naczelnika Fundacji Zakłady Kórnickie, i innych pracowników tej instytucji. Później dowiedziałem się też o aresztowaniu i prawdopodobnej śmierci Adolfa Bnińskiego, prezesa zarządu Fundacji. Mówiono powszechnie, że po torturach został on przewieziony do poznańskiego Ogrodu Zoologicznego i tam oddany tygrysom na pożarcie. Uczcie tej miał się przyglądać Greiser i inni dygnitarze hitlerowscy. Wobec popełnianych przez nich straszliwych okrucieństw nawet taka potworność nie wydawała się zupełnie niewiarygodna.

Jakże mi trudno wstrzymać i odsunąć potok wspomnień o owych czasach i ludziach, z których żyje już tak niewielu. Był przecież okres, w którym ważyły się

losy II wojny światowej, a tym samym Polski, czas pełen napięć, gdy niebezpieczeństwo utraty życia zagrażało na każdym kroku każdemu z nas i naszym najbliższym.

Pomijam to wszystko i powiem tylko krótko, że w r. 1942 przeszedłem do pracy w wydziale nieruchomości Zarządu m. Poznania. Po aresztowaniu dr. Rolbieskiego (później ściętego za udział w organizacji dr. Witaszka) był tam potrzebny prawnik władający dobrze językiem niemieckim dla tłumaczenia ksiąg wieczystych i innych dokumentów polskich. Wiedząc, że wśród tramwajarzy są Polacy najróżniejszych zawodów, decernent tego wydziału dr. Werner tam skierował swoje poszukiwania.

Po jakimś roku pracy we wspomnianym wydziale miałem w ręce plan przeprowadzenia kanału od Warty koło Małej Kępy do Jeziora Zaniemskiego i dalej przy zastosowaniu śluz przez cały łańcuch jezior kórnickich znowu do Warty koło Czapur. Plan ten został odrzucony i wręcz wyśmiany ze względów ekonomicznych, ale dowiedziałem się z niego, że Fundacja Zakłady Kórnickie została przemianowana na „Reichsstiftung für deutsche Ostforschung” (Fundację Rzeszy dla niemieckich badań Wschodu). W oddziale hipotecznym Sądu Powiatowego w Poznaniu nieco później zauważyłem przypadkowo pismo „Reichsstiftung” dotyczące wpisu do księgi wieczystej zapewne Trzebowia. Jeden z polskich ówczesnych pracowników tego oddziału (może sędzia Alfons Lehmann, późniejszy prokurator, który był wtedy sekretarzem w tym oddziale, a może sekretarz Kałwiński) w związku z tym poinformował mnie, że do „Reichsstiftung” zostały przydzielone także niekórnickie majątki rolne. Nie pamiętam, czy już wtedy dowiedziałem się czegoś bliższego na ten temat, ale raczej nie, ponieważ wszyscy zgodnie uważaliśmy, iż niemieckie posunięcia i działania prawne po wojnie nie będą miały żadnych dalszych skutków. W każdym razie już w owym czasie kielkowała we mnie myśl o potrzebie zainteresowania się Fundacją w pierwszym okresie powojennym, ewentualnie w oparciu o Uniwersytet Poznański. Przypominam sobie dokładnie moje rozmowy na ten temat np. z dyr. Nikodemem Tyrakowskim.

### 3. WYZWOLENIE

Nareszcie dobiegał końca straszliwy koszmar hitlerowskiej okupacji — zaczynała się bitwa o Poznań. Od 15 stycznia 1945 cywilni Niemcy, głównie kobiety z dziećmi, jeszcze cichcem, lecz już coraz liczniej, zaczęli opuszczać miasto. W sobotę 20 stycznia ucieczka przybrała charakter masowej paniki, a 3 dni później Poznań był otoczony przez wojska radzieckie. Przekonałem się o tym, obszedłszy tego dnia wieczorem zachodnie krańce miasta, a więc te na pozór najmniej zagrożone. Drogi były już przekopane rowami, na zachód od linii niemieckich było wszędzie widać płonące budynki, zapalone przez wojsko dla oczyszczenia i oświetlenia przedpola. Rozmowy z żołnierzami pozwoliły mi stwierdzić, iż wojsko to było już psychicznie zupełnie załamane. Nie miało więc większej wartości bojowej. Toteż w stosunkowo krótkim czasie oddziały radzieckie zajęły południową i południowo-zachodnią część miasta, m. in. Górczyn i Łazarz. Tam właśnie mieszkałem przy ul. Niegolewskich, wtedy Graf-Spee-Strasse, a teraz Samuela Engla.

Zaraz — wśród szalejących dookoła pożarów i padających pocisków artyleryjskich — utworzyliśmy komendę milicji, jako pierwszą polską komórkę organizacyjną, w budynku b. gimnazjum im. Mickiewicza przy ul. Głogowskiej. 28 stycznia objąłem w niej stanowisko wicekomendanta. Pierwszą rzeczą było usunięcie setek trupów, zalegających ulice wśród zwałów śniegu zszarzałego od popiołu sypiącego się nieustannie z nieba, czerwonego od łuny z płonących setek budynków. Trzeba też było walczyć z grabieżami, napadami i gwałtami. Moim specjalnym zadaniem było uruchamianie — na razie przeważnie w tym samym budynku — załączków nowych polskich władz i instytucji oraz pomoc w uruchamianiu ich na mieście w południowo-zachodnich i zachodnich dzielnicach miasta w miarę ich oswobodzenia. Przy kilkunastu stopniach mrozu pracowaliśmy w pomieszczeniach pozabawionych szyb i ogrzewania. Należałem do tych wyjątkowych szczęśliwców, którzy chociaż w domu mieli ciepło. W chwili rozpoczęcia walk uchyliliśmy okna na naszym poddaszu, dzięki czemu szyby nie wypadły, a w piecu kaflowym było można napalić czymkolwiek. Zresztą węgla nie brakło.

W początku lutego zgłosili się do mnie pierwsi pracownicy administracyjni Uniwersytetu Poznańskiego; o ile dobrze pamiętam, byli to Stanisław Adamski i Czesław Mróz, a krótko potem kwestor Aleksander Popowski i dalsi. Na II piętrze gimnazjum Mickiewicza wyznaczyłem pokój, w którym pracownicy rejestrowali się i zaczęli pełnić czynności o tyle, o ile to było możliwe. A sytuacja zmieniała się niemal każdego dnia, zależnie od przesuwania się walk. 6 lutego przybył do Poznania pełnomocnik Rządu (jeszcze lubelskiego) na Wielkopolskę Michał Gwiazdowicz, a z nim dr Stefan Różycki, profesor anatomii na Wydz. Lekarskim Uniwersytetu, jako delegat dla spraw szkół akademickich, oraz inni delegaci specjalistyczni.

W ciągu kilku dni przekazaliśmy nowym władzom powstałe przy naszej komendzie zaczątki władz i urzędów i mogłem zająć się wyłącznie sprawami Uniwersytetu oraz na krótki czas Akademii Handlowej. Prof. Różycki po kilku dniach wyjechał znowu do Generalnej Guberni, a jako jego zastępca pozostał mgr Jarosław Urbański, zoolog. Biura Uniwersytetu ulokowaliśmy w przedwojennym domu studentek przy ul. Słowackiego 20, uszkodzonym tylko nieznacznie, gdzie szybko zostało rozwinięte przedsiębiorstwo remontowe, które już w czasie walk rozpoczęło naprawę najmniej uszkodzonych budynków.

Niemcy jeszcze tkwili w zamku ongiś Wilhelma II, który namiestnik III Rzeszy Artur Greiser przebudował na swoją i Hitlera rezydencję (obecnie Pałac Kultury), gdy poszedłem obejrzeć Collegium Minus i Collegium Medicum przy ul. Fredry. Przez cały czas okupacji mieściło się tam Generalkommando, czyli dowództwo wojskowe na kraj Warty. W przedsionku wśród gruzów na schodach leżały dwie XVIII-wieczne lufy armatnie z brązu: jedna z herbami Polski i Litwy i nazwiskiem Stanisława Małachowskiego dookoła herbu Nałęcz oraz druga z charakterystycznym ówczesnym orłem pruskim i monogramem Starego Fritza i napisem głoszącym, oczywiście po polsku, że działo to zostało zdobyte 26 III 1807 pod Neufahrwasser (Gdańsk — Nowy Port) przez żołnierzy polskich pod wodzą generała brygady Sokolnickiego.

Zdając sobie sprawę, że sam metal może być przynętą dla rabusiów, których wtedy jeszcze nie nazywano szabrownikami, kazałem woźnym i laborantom, którzy jako pierwsi stawili się w gmachu, lufy zasypać zalegającym wszędzie gruzem. Budynek był bowiem zupełnie otwarty wskutek zniszczenia okien i drzwi. Nieco później lufy zostały przeniesione na miejsce mniej widoczne, a opiekę nad nimi położyłem na sercu dr. Kwiekowi. Równocześnie zamianowałem go opiekunem budynku do czasu dokonania najniezbędniejszych remontów i oddania pomieszczeń w normalne użytkowanie.

W maju tegoż roku za pośrednictwem dr. Edwarda Griega z Władywostoku Uniwersytet uzyskał od NKWD kilkunastu jeńców niemieckich do pomocy w robotach porządkowych i transportowych. Ich siłami zostały lufy załadowane na dychawiczną ciężarówkę i przewiezione do zamku w Kórniku. Stanowią do dziś atrakcyjny eksponat w czarnej sali.

Na lufach są wybite litery rosyjskie z liczbami — zapewne znaki inwentarzowe — co rzuca pewne światło na ich losy. Wolno przypuszczać, że jakiś książę lub generał carski po którymś powstaniu zabrał je jako trofeum wojenne do swojej prywatnej rezydencji. Nie figurowały w żadnej ewidencji muzealnej, gdy w r. 1921 zaczęła się wielka akcja zwrotu polskich dóbr kultury zrabowanych przez carat. Do zbioru publicznego trafiły później i otrzymały wspomniane znaki. Niemcy znaleźli je na terenie Rosji i przywieźli do Poznania może nawet w zamiarze przetopienia. Tak więc co armia carska z Polski zabrała, to armia niemiecka z powrotem do Polski przywiozła. — *Habent sua fata armatae!*

Zimą 1945 roku — a zima była mroźna i śnieżna — wypadki biegły tak szybko, dni były tak nabrzmięte wydarzeniami, że starczały za tygodnie. Trudno nieraz odtworzyć chronologię, znaleźć dokładną datę zdarzeń mniej ważnych. Toteż mogę tylko powiedzieć, że któregoś dnia mgr Urbański przyszedł z wiadomością, że Stary Rynek jest już oswobodzony. Podobno jest tam duża księgarnia naukowa, którą warto by zabezpieczyć. Mnie zaś bardziej interesowało to, że 20 stycznia w nowym ratuszu (stał mniej więcej w miejscu dzisiejszej rzekomo „starej” wagi zrekonstruowanej przede wszystkim na podstawie obrazu, który także został znaleziony w Collegium Medicum) wszystkie maszyny biurowe zostały poznoszone na parter i zapakowane do skrzyń dla ewakuacji. Nie doszło do niej. Następnego dnia stały jeszcze w ratuszu, a już nie miał kto ich ewakuować do Reichu. Wobec zniszczenia większości budynków biurowych razem z ich wyposażeniem wartość tych maszyn byłaby szczególnie duża, gdyby się zachowały.

Poszliśmy więc na Stary Rynek, ale zastaliśmy tylko upiorny cień Starego Rynku. Wszędzie tylko gruzy i wypalone, jeszcze dymiące ruiny; ocalało tylko kilka domów od strony ul. Nowej (teraz Paderewskiego). Gdy przechodziliśmy przed szczątkami głównego odwachu, żołnierz radziecki ostrzegł nas, że na ulicy Wielkiej są jeszcze Niemcy i strzelają do wszystkiego, co się ruszy między ratuszami starym i nowym, a północną pierzeją Rynku. Właśnie z tamtej strony było wejście do nowego ratusza, ale i z naszego miejsca między odwachem a Pałacem Działyńskich było widoczne, że interesujący mnie budynek był wypalony do samego dołu — razem z maszynami biurowymi!

Ucieszyliśmy się natomiast, że stoi jeszcze piękna elewacja Pałacu Działyńskich, największa obok starego ratusza ozdoba Starego Rynku, choć reszta Pałacu prawie nie istniała. Nie zdawałem sobie wtedy sprawy, że jest on własnością FZK. Nie przypuszczałem też, że już za rok przypadnie mi zadanie zabezpieczenia ocalałych resztek, a za kilka lat zabiorę się do odbudowy całości budynku wśród ogromnych trudności.

Stare miasto leżało tego dnia jeszcze na linii frontu, ale z oswobodzonych i częściowo ocalałych od pożogi uliczek rozlegał się już stuk młotków, zgrzyt pił i pilników, brzęk zmiatanego i wyrzucanego szkła. Mgr Urbański powiedział z uśmiechem: „Słyszysz pan? Mrówki naprawiają zniszczone mrowisko!” (Porównanie to — chociaż nienowe — było w jego ustach zaskakujące, bo wprawdzie był i pozostał zoologiem, ale ślimaczkarzem, a nie entomologiem).

#### 4. ODBUDOWA

Prócz Pałacu Działyńskich inne budynki Fundacji Zakłady Kórnickie — wszystkie położone poza Poznaniem — nie uległy zniszczeniu przez działania bojowe. Jedynie w Kórniku dwa drobne obiekty zostały rozebrane całkowicie, a oficyna nad jeziorem (obecnie ul. Zamkowa 10) częściowo w celu przebudowy, która nie doszła do skutku. Dowiedziałem się o tym od Edwarda Prusińskiego, który w drugiej połowie lutego zjawił się u mnie w Uniwersytecie. Pracował on przed wojną i w czasie okupacji w księgowości Fundacji na stanowisku rachmistrza. Po ucieczce Niemców tymczasowe władze powiatowe w Śremie mianowały go tymczasowym dyrektorem Fundacji. Nie mogąc sam opanować sytuacji, przyjechał do Uniwersytetu po pomoc. Prócz względów ogólnych na szukanie pomocy w tym kierunku wpłynęło i to, że w czasie okupacji „Reichsstiftung” miała dość silne powiązania z „Reichsuniversität”. Uzyskałem wtedy pierwsze informacje o stanie spraw FZK. Nie potrafiłbym oczywiście teraz, po 32 latach, ówczesnej relacji p. Prusińskiego wyodrębnić z całokształtu wiadomości zebranych w tamtym okresie.

Skoro jednak kilka lat później fundacje zostały zniesione na podstawie dekretu prezydenta z r. 1952, a więc ćwierć wieku temu, obawiam się, że młodszy spośród czytelników nie wiedzą, co to było. Wypada mi więc poświęcić nieco miejsca wyjaśnieniu istoty tej instytucji prawnej znanej już w starożytności i szeroko praktykowanej w średniowieczu. Źródłem fundacji był zawsze majątek prywatny i wola fundatora. Bardzo nieliczne fundacje państwowe powstały dopiero w czasach najnowszych. Otóż fundator — z natury rzeczy człowiek mniej lub więcej zamożny — ze swego mienia wydzieliał jakąś część albo poświęcał cały swój majątek z postanowieniem, iż będzie on stanowił oddzielną osobę prawną. Dochody tej osoby prawnej będą na zawsze przeznaczone do realizowania pewnych celów społecznie i moralnie pożądanых, a co najmniej godziwych. Akt ustanowienia fundacji — bardzo często był to testament — regulował też zazwyczaj sposób jej zarządzania. Forma aktu prawnego, ustanawiającego fundację, była w różnych czasach różna, zazwyczaj była wymagana zgoda władzy państwowej, ale istota pozostawała ta sama: były to dobra materialne, nie mające określonego właściciela, natomiast służące okreś-

lonym celom. Fundacje były zazwyczaj zarządzane przez ciała kolegialne, nazywane kuratorium lub zarządem, rzadziej jednoosobowo. Zarząd jednoosobowy najczęściej występował w fundacjach przykościelnych, gdy zarządcą był proboszcz lub biskup. Były to przeważnie fundacyjki służące celom charytatywnym, posiadające niewielki majątek.

Zadania i cele Fundacji Zakłady Kórnickie są powszechnie znane, dzięki licznym publikacjom i informacjom, udzielanym turystom przez przewodników, nie mam więc potrzeby przedstawiania ich. Natomiast powrócę do stanu FZK na wiosnę r. 1945.

Główny obiekt dochodowy Fundacji — lasy o powierzchni ca 5000 ha z tartakiem w Gądkach — został przejęty przez niemiecką administrację lasów państwowych zaraz na początku okupacji z tym, że po utworzeniu „Reichsstiftung für deutsche Ostforschung” czysty dochód z tych lasów i tartaku był odprowadzany do „Reichsstiftung”. Toteż po wyzwoleniu zostały razem z innymi lasami przejęte przez polską państwową administrację leśną z powołaniem się na dekret o upaństwowieniu lasów i tymczasowy dyrektor nie mógł ich zachować dla Fundacji. Natychmiast podjęte usiłowania odzyskania lasów pozostały bezskuteczne. Ten fakt pozbawienia Fundacji źródła większości dochodów zaciążył w sposób decydujący na jej losach.

W niepewnym posiadaniu Fundacji pozostawało 18 gospodarstw rolnych o ogólnej powierzchni ca 6500 ha. Posiadanie określiłem jako niepewne wobec nasilonej tendencji do ich rozparcelowania w ramach reformy rolnej. Zdania władz lokalnych były z początku rozbieżne, a sami robotnicy nie kwapili się do parcelacji. Sprawy te omówię bliżej na dalszym miejscu. W każdym razie trzeba było w majątkach tych gospodarzyć, a to było bardzo trudne z braku inwentarza żywego, a w szczególności siły pociągowej. Także inwentarz martwy był zdekompletowany — uciekając Niemcy zabrali wszystkie lepsze wozy — a materiał siewny w ilości niedostatecznej. Była tu niezbędna pomoc władz wojewódzkich ogólnorolnych i pełnomocnika akcji siewnej. Z nimi oraz z pełnomocnikiem wojewódzkiej reformy rolnej trzeba było być w nieustannym kontakcie, tak jak ja byłem w związku z zagadnieniami gospodarstw rolnych dla Wydziału Rolno-Leśnego U. P., o które zabiegaliśmy wspólnie z inż. Falkowskim. Dla Prusińskiego utrzymanie takiego kontaktu z władzami poznańskimi było wręcz niemożliwe z powodu trudności komunikacyjnych. Na trasie kolejowej, biegnącej przez Kórnik, ze stacją oddaloną od miasta o 5 km, nie było jeszcze regularnego ruchu, autobusów nie było w ogóle. Administracja centralna Fundacji dysponowała tylko małą bryczką i jednym koniem podleczonym, którego jako chorego zostawiła na Prowencie przechodząca jednostka wojskowa. Zresztą Prusiński musiał być często w miastach powiatowych Śremie i Środzie oraz oczywiście na miejscu w Kórniku. Dla największego majątku fundacyjnego Trzebawia miastem powiatowym był Poznań, ale ze sprawami w starostwie poznańskim dobrze sobie radził administrator Trzebawia inż. Bogdan Czarnecki.

W rezultacie tych okoliczności podjąłem się załatwiania spraw fundacyjnych we władzach wojewódzkich, a przynajmniej takiej ich części, która by nie kolidowała z moimi obowiązkami uniwersyteckimi. Logiczną konsekwencją było to, że po pewnym czasie musiałem zwrócić się do władz wojewódzkich z propozycją nadania mi jakiegoś oficjalnego tytułu dla załatwiania spraw FZK. Zostało to załat-

wione w ten sposób, że otrzymałem następujące zarządzenie, które przytaczam w pełnym brzmieniu:

Pełnomocnik Rządu RP  
na Województwo Poznańskie  
Poznań, dnia 26 marca 1945

Upoważnienie!

Obywatelowi mgr. Gibasiewiczowi St. zlecam tymczasowe obowiązki kuratora Fundacji Kórnickiej.

Do obowiązków ob. Gibasiewicza należy reprezentowanie Fundacji wobec Pełnomocników Reformy Rolnej, Woj. Urzędu Ziemskiego oraz innych urzędów niezespolonych.

Władze cywilne i wojskowe prosi się o wszelką pomoc.

Za Pełnomocnika Rządu R.P.  
na Województwo Poznańskie  
(podpis)

(-) Dr. Widy-Wirski  
(Wicewojewoda)

Okrągła pieczęć z orłem „Urząd Wojewódzki Poznański”

(Wszystkie pisma maszynowe w owym czasie obywateli się bez polskich znaków pismarskich, ponieważ używano maszyn pozostałych po Niemcach, którzy maszyny polskie oczywiście przerobili).

Na czoło wszystkich spraw fundacyjnych wysuwała się parcelacja majątków rolnych. Stanowiły one resztę masy majątkowej i dochodowej i bez nich Fundacja automatycznie przestałaby istnieć, a utrzymywane przez nią zakłady naukowe zawisłyby w próżni.

Od wicewojewody dowiedziałem się, że ze strony władz centralnych jest stały nacisk, aby parcelację możliwie szybko zakończyć. Realizacja tego zadania posuwała się jednak raczej powoli, ponieważ robotnicy na gospodarstwach wielkorolnych zdawali sobie sprawę z trudności gospodarowania bez żywego inwentarza, który został zabrany przeważnie przez uciekających Niemców, a częściowo przez przesuwające się wojska frontowe i tzw. maruderów. Zresztą rekwizycje wojska trwały, a wobec niejasnej teraźniejszości i nie dość konkretnej przyszłości mnożyły się kradzieże resztek świń, owiec i wszelkich zapasów. Poza kilku traktorami i pługiem parowym (w Trzebawiu) jedyną siłę pociągową stanowiło około 30 kiepskich koni i 40 wołów. Jak to podzielić na ponad 600 ewentualnych parcelantów? No i budynki były przecież jedne dla całego gospodarstwa. O spółdzielczości produkcyjnej, mogącej z biegiem czasu rozwiązać te trudności, jeszcze się wtenczas nie mówiło. [...]

Trzeba było optymizmu posuniętego do granic braku zdrowego rozsądku, aby w takich warunkach podejmować próbę ratowania tej instytucji. Jeżeli wziąłem w tym udział, to chyba tylko dlatego, że szło to po linii mojego postanowienia z czasów okupacji. Było też w tym zapewne coś z polskiego „jakoś to będzie”. Nie byłem zresztą odosobniony. Dzisiaj po trzydziestu latach można powiedzieć, że tylko ten nieprzytomny entuzjazm i optymizm wielu, ale niestety nie wszystkich,

ludzi pozwolił najgorsze trudności powojenne złagodzić i przezwyciężyć w stosunkowo krótkim czasie.

Nie mogłem — rzecz jasna — zaniedbać spraw Uniwersytetu, które też wymagały maksymalnego napięcia wysiłków i umiejętności. Tutaj było moje zasadnicze, zawodowe zajęcie, podczas gdy praca dla Fundacji była pracą społeczną i taką pozostała do końca moich funkcji tymczasowego kuratora. Jest rzeczą paradoksalną, że w tym początkowym okresie sytuację ułatwiał brak jakichkolwiek pieniędzy, brak rektora i Senatu i brak łączności z władzami nadrzędnymi w Warszawie, a początkowo w Lublinie. Nie było więc trudności budżetowych, ani mitręgi biurokratycznej. Decyzje mogły zapadać szybko i śmiało, a to w momencie trwającego jeszcze chaosu było szczególnie ważne.

Tak więc już w lutym rozpoczęliśmy remont domów Uniwersytetu i Akademii Handlowej najmniej uszkodzonych, a w połowie marca uniwersyteckie przedsiębiorstwo budowlane liczyło już 165 pracowników. W chwili kapitulacji cytadeli 23 lutego 1945 działała już stołówka i aprowizacja — dzięki energii i rzutkości Bogdana Englicha — których świadczenia były jedynym wynagrodzeniem pracowników przez blisko dwa miesiące. Już wcześniej została rozpoczęta akcja zabezpieczenia zbiorów książek naukowych, utrudniona przez brak transportu. Książki trzeba było zwozić ręcznym wózkiem. Z trudem powstrzymuję się od dalszego opisu zapału, z jakim pracowano w tempie nie dla wszystkich dostępnym. W kwietniu wrócił mój przedwojenny zastępca (referendarz Rektoratu od r. 1937, gdy ja przeszedłem na stanowisko opróżnione przez dr. Rakowskiego), a w maju kierownik działu technicznego. Pierwszy po kilku dniach oświadczył, że zdrowie nadwężone w czasie okupacji nie pozwala mu pracować w takim młynie, i wrócił do Prokuratury Generalnej (był to organ obrony prawnej interesów skarbu państwa — nie mylić z Prokuraturą), w której pracował przed r. 1937. Drugi — człowiek już starszy — przez kilka dni przyglądał się i pracy nie podjął, tłumacząc się zupełnie zmienionymi warunkami. Obok przedwojennych pracowników Uniwersytetu bardzo istotną rolę odegrali ogromnie ofiarni wspomniani już B. Englich, mgr Bogdan Paruzal i Czesław Ryll, którzy po wspólnej pracy w tramwajach stanęli też do pracy w komendzie milicyjnej i przeszli ze mną do Uniwersytetu. Do tych ochotników należał też Aleksander Kłossowski, a w dziale budowlanym inż. Czesław Stefański, inż. Rychlicki i technik Wacław Thiem oraz wielu innych. Nie sposób wymienić tu wszystkich.

Po tej dygresji, rzucającej nieco światła na ówczesne warunki życia i pracy, powracam do spraw fundacyjnych.

Trzeba było pojechać do Kórnika. Ale jak to zrobić, skoro brak było transportu i komunikacji. Kierownik aprowizacji U. P. Englich wyszperał gdzieś i na dłuższy czas wziął w najem dla U. P. woźnicę z helką i starym koniem, jedyny zaprzęg, jaki się wtedy widywało na ulicach Poznania poza wojskowymi. Do początku maja był to jedyny nasz środek transportowy, którego nam zazdrościły inne instytucje, ale stale był potrzebny do wożenia aprowizacji. Koń był zresztą za stary i słaby dla jazdy do Kórnika i z powrotem. Na podwórzu Collegium Minus znalazł się samochód osobowy marki BMW bardzo postrzelany — tak jak i gmach do użytku niezdatny.

Warsztatowcy uniwersyteccy podjęli się naprawy wozu, który miał urządzenie do napędu gazem drzewnym. Kazałem przy okazji przerobić go na pick-up, gdyż potrzebniejszy był przewóz rzeczy niż osób, choćby ważnych.

Tymczasem wrócił też dr Józef Wiza i objął Zakład Higieny, którego był adiunktem. W końcu marca przyszedł on z wiadomością, że znalazł człowieka, który gotów jest wynająć wóz z parą koni na wyjazd do Runowa. Dr Wiza chciał tam odwiedzić i ewentualnie zabrać dr. Jerzego Szumana, którego tam ulokowali Niemcy. Mogłem więc zabrać się z nim do Kórnika, z czego chętnie skorzystałem.

Szosa z Poznania do Kórnika została w połowie lat międzywojennych wykonana tak starannie, że jej nawierzchnia z kostki granitowej wytrzymała bez żadnych napraw nie tylko znaczny upływ czasu z ruchem normalnym, ale i przejazdy setek czołgów niemieckich i radzieckich. Nasze niewielkie koniki kłusowały wytrwale, pogoda była dobra, więc drogi szybko ubywało. [...]

W Runowie czworak, w którym mieszkał dr Szuman, był wskutek roztopów wiosennych prawie niedostępny. Było można zaraz poznać, że gospodarstwo to ma głębę ciężką, nieprzepuszczalną. Okazało się, że dr Szuman objął już tymczasowe kierownictwo majątku i uzgodnił z Prusińskim, iż pozostanie tu do czasu zaangażowania następcy.

Po przyjeździe do Kórnika odwiedziłem przede wszystkim zamek, w którym zastałem niebywały chaos. Okupacyjne władze hitlerowskie zrabowały stosunkowo niewiele ze zbiorów, które skuteczną perswazją bronił p. Stanisław Małecki, dopóki nie został aresztowany. Pewną ilość mebli zabytkowych zabrał gauleiter Artur Greiser dla umeblowania pałacu, który sobie wybudował nad Jeziorem Góreckim na gruncie fundacyjnym; była więc nadzieja, że będzie można je odzyskać. Natomiast zwieźli tu Niemcy polskie księgozbiory z zakładów uniwersyteckich i z innych źródeł i zawalili nimi cały parter zamku. Ponadto przywieźli wielką ilość skrzyń z aparaturą medyczną i może inną z uniwersytetów berlińskiego i poznańskiego, opakowaną w papier i wełnę drzewną. Były też stosy akt urzędu „Reichsstatthaltera” (namiestnika Rzeszy).

Dwukrotnie w okresie przesuwania się wojsk i w początku lutego niezidentyfikowani rabusie wdarli się do zamku przez zamarzniętą fosę i dokonali tam niesamowitego zniszczenia. Wszystko, co było szklane lub porcelanowe, leżało rozbite, tkaniny podarte, obrazy i meble pocięte szablami lub bagnietami, meble poprzewracane, a wszystko to zmieszane z wełną drzewną ze skrzyń z aparaturą, która połamana i zniszczona leżała wśród książek, rękopisów, akt niemieckich i różnych obiektów muzealnych. W najgorszym stanie były sekretarzyki i niektóre szafy gdańskie. Rabusie widocznie szukali ukrytych w nich skarbów, bo zostały połupane po prostu na części składowe. Poznań po miesięcznych walkach przyzwyczaił mnie do obrazów zdemolowanych wnętrz, a szczególnie budynków publicznych. Dochodził tam powszechny brak szyb w oknach oraz skutki wybuchów granatów wewnątrz pomieszczeń wśród ruin wypalonych budynków, ale tutaj w grę wchodziły przeważnie obiekty wielkiej wartości kulturalnej. No i nie było przecież w Kórniku żadnej walki, ani dookoła wojennego zniszczenia, był więc ten widok niespodziewany i tym bardziej wstrząsający.

Wśród tego prawdziwego „tohu-wabohu” kręcił się Stanisław Małecki, który niedawno wrócił z więzienia w Rawiczu, usiłując przywrócić jakiś ład i porządek z pomocą odzwiernej Franciszki Koniecznej i dwóch rybaków, zapewne Kuberackiego i Marciniaka, przysłanych mu do pomocy z rybołówstwa fundacyjnego. Poszedłem na górę do Stanisławy Jasińskiej, zajętej także porządkowaniem papierów. Dr Stanisława Bodniaka nie zastałem, gdyż wyjechał do Krakowa. Po drodze zauważyłem liczne monety ze zbioru numizmatycznego porozrzucane na korytarzu parterowym i na podęście wśród zalegających tam odłamków szkła, książek, podartych akt itp. Żyłka numizmatyczna ciągnęła mnie do pozbierania zaraz tych monet i obejrzenia ich, ale nie było na to czasu. Miałem je w ręce dopiero kilka lat później.

Patrząc na drewniane schody, pomyślałem z ulgą, że też niszczycielom nie wpadło do głowy podpalić te stosy drewna i papieru. Okazało się, że i p. Jasińska myślała to samo, chociaż Poznania jeszcze nie widziała i tylko z opowiadań wiedziała o jego zniszczeniu. Co prawda lunę nad Poznaniem było i w Kórniku widać przez 4 tygodnie.

Na I piętrze stan zniszczenia był pozornie mniejszy, gdyż nie było tu stosów książek, zalegających parter, ani skrzyń z aktami, rozrzuconych opakowań itd., ale wandalę grasowali tu nie mniej zawzięcie. Tymczasem na parterze dr Wiza usiłował zestawić choćby jeden mikroskop, ale daremnie, gdyż zniknęły wszystkie części zawierające soczewki. Te części były siłą wyrwane z całości. Rabusie mieli widocznie jakieś pojęcie o wartości tych szkielec, ale byli zbyt nieoświeceni, aby zdawać sobie sprawę, że te okulary i obiektywy bez reszty przyrządu były bezwartościowe.

Odwiedziliśmy następnie administrację centralną Fundacji na Prowencie. Główny budynek był jeszcze zajęty przez wojsko radzieckie, czołgistów, których potężne maszyny stały w parku koło pawilonu. Znałem je dobrze, gdyż warsztat naprawczy tego właśnie typu był w Poznaniu blisko mego mieszkania. [...] Widząc ten parking czołgowy zrozumiałem, dlaczego p. Jasińska skarżyła się na ich częste przejazdy obok zamku, przypisując spowodowanym przez to wstrząsom część winy za znaczne pogorszenie się stanu budowlanego zamku. Istotnie mury, łuki i sklepienia w niektórych partiach były spękane w sposób groźny. Powiem tu od razu, że w czasie nieco późniejszej rozmowy z dyrektorem Biblioteki drem Stanisławem Bodniakiem byliśmy zgodni m. in. co do konieczności odciążenia zamku. Toteż dołożyłem wszelkich starań, aby zabrać do Poznania dziesiątki tysięcy książek uniwersyteckich. Było to jednak możliwe dopiero po kilku tygodniach, gdy poprawiły się warunki transportu i pomieszczeniowe zakładów uniwersyteckich.

Biura administracyjne FZK mieściły się wtedy w domku, w którym są obecnie biura leśne. Z Prusińskim uzgodniliśmy postępowanie w sprawie parcelacji majątków oraz omówiliśmy sprawy bieżące. Okazała się potrzeba interweniowania w Poznaniu w sprawie rybołówstwa. Jeziora fundacyjne w rejonie Kórniku obejmowały zaledwie 500 hektarów, i większych kłopotów z zachowaniem ich posiadania nie było.

Może nie tego dnia, ale w owym czasie wypłynął też problem obszarów rolnych, które władze hitlerowskie dołączyły do Fundacji kórnickiej, tworząc wspomnianą już kilkakrotnie „Reichsstiftung”, a mianowicie:

1) majątek Laski w pow. kępińskim o powierzchni 2600 ha fundacji „Nauka i Praca” im. Heliora Święcickiego, od którego zacząłem moje wspomnienia,

2) klucz Smogulec w pow. wągrowieckim, obszaru 2800 ha, fundacji Bogdana Hutten-Czapskiego na rzecz U. W. i Politechniki Warsz.,

3) ordynację Przygodzice-Antonin o powierzchni 10 660 ha, poprzednio własność ks. Michała Radziwiłła „Rudego” ze ziemczonej linii Radziwiłłów, który cały ten klucz przekazał III Rzeszy do rąk Adolfa Hitlera w zamian za okazałą rentę dożywotnią.

Prof. Wrzosek zwracał się do mnie dwukrotnie o współpracę w ratowaniu Lasek oddalonych od Poznania o ponad 150 km. Udzieliłem mu pewnych rad na podstawie mojego doświadczenia, ale efektywnie pomóc nie mogłem, bo to przekraczałoby moje siły. Ogromne gospodarstwo rybne w Przygodzicach niedaleko Ostrowa (stawowe, ale stawy były tam większe od naszych jezior) pragnęło pozostać przy Fundacji i długi czas było w kontakcie z Kórnikiem. Odnosiłem się jednak negatywnie do tych prób korzystania z pozycji FZK, wychodząc z założenia, że rozpraszanie się nie może dać dodatnich rezultatów dla zainteresowanych jednostek.

Nie pamiętam, czy w czasie tej pierwszej wizyty w Kórniku odwiedziłem także Ogrody Kórnickie. Raczej zabrakło mi czasu. Byłem zresztą w kontakcie z inż. Stefanem Białobokiem, który w lutym przybył do Kórnika z upoważnieniem Ministerstwa Rolnictwa i Reform Rolnych objęcia Ogródów i krótko potem odwiedził mnie w Poznaniu. Przedwojenny dyrektor Ogródów Antoni Wróblewski zmarł w czasie okupacji, a jego dorobek naukowy starała się zachować asystentka p. Lucyna Szczęsniewska, która pozostała na miejscu. Praca naukowo-badawcza Ogródów Kórnickich była jednym z celów Fundacji, ale byliśmy zgodni z inż. Białobokiem i dyr. Prusińskim, że wobec gospodarczej ruiny instytucji Ogrody muszą się na razie ograniczyć do samofinansowania z produkcji ogrodniczej i sadowniczej, a szczególnie drzewek i krzewów, dotacje zaś z administracji centralnej mogą mieć tylko charakter sporadyczny. Obszar Ogródów wynosił podówczas ca 96 ha, z czego 33 ha parku czysto deficytowego. Okupant niemiecki dołączył do tego kilka ha ziemi fundacyjki szpitalnej przy parafii bnińskiej. Ta właśnie ziemia w całości była obsadzona szkółką drzewek, których nie można było usunąć. W tej sprawie proboszcz bniński ks. Szczepan Janasik, jeden z bardzo nielicznych duchownych katolickich nie deportowanych i nie uwięzionych, wystosował do Fundacji tak dziwne pismo, że nie mogę powstrzymać się od przytoczenia go w całości (odpis zachował się w moich aktach tymczasowego kuratora, z których korzystam dla podparcia mojej pamięci):

Katolicki Urząd Parafialny  
Bnin

Bnin, dn. 26 czerwca 1945 r.

Do

Fundacji „Zakłady Kórnickie”

W czasie okupacji niemieckiej odebrał ówczesny zarząd Fundacji kawał roli szpitalnej i przyłączył ją do ogrodów fundacyjnych. Jestem głęboko przekonany, że obecne władze fun-

dacji tego bezprawia okupanta przez dalsze użytkowanie zagrabionej roli kościelnej tolerować nie zamierzają i dlatego proszę uprzejmie:

- 1) o natychmiastowy zwrot skradzionej przez okupanta roli,
- 2) o sumienne obliczenie i zwrot szkody, wyrządzonej kościołowi (szpitalowi bnińskiemu) przez kilkoletnie używanie roli na korzyść okupanta.

Z poważaniem

(—) Janasik proboszcz

Ks. proboszcz Janasik w czasie okupacji miał w „Reichsstiftung” posadę archiwariusza, więc dobrze znał istotny stan rzeczy. W tej sytuacji identyfikowanie przez niego FZK z „Reichsstiftung” i żądanie odszkodowania za pożytki pobrane przez hitlerowców od instytucji zrujnowanej przez wojnę nie wymaga komentarza. Później płacono za tę ziemię przez kilka lat czynsz dzierżawny. O ile wiem, pozostaje ona nadal we władaniu Instytutu Dendrologii PAN, który stanowi kontynuację Ogrodów Kórnickich.

Ze szkołą gospodarstwa domowego dla dziewcząt w Kuźnicach pod (a raczej nad) Zakopanem oraz z niewielkimi posiadłościami zakopiańskimi nie mieliśmy żadnego kontaktu i nie wiedzieliśmy, co się tam dzieje. Dopiero znacznie później, w początku lipca, prof. dr Wiktor Schramm, przedwojenny członek zarządu Fundacji, otrzymał od adwokata dr Diehla z Zakopanego informacje na ten temat. Przekazał mi je zaraz dla udzielenia Kuźnikom pomocy żywnościowej. Szkoła nie była czynna, było tam tylko kilka pracownic i emerytek. W rachubę wchodziły tak niewielkie ilości, że wysyłka wagonu z konwojentem nie była brana pod uwagę, a w innej formie przesyłka na pewno by nie doszła.

Analogiczna szkoła w Kórniku została we wrześniu 1939 r. zajęta przez wojsko niemieckie. Mieściła się ona w dawnej oficynie zamkowej, która zachowała swój barokowy kształt, a w której ongiś były stajnie i wozownie (obecnie ul. Zamkowa 3). Po opuszczeniu przez wojsko budynek został wewnętrznie przebudowany i dla celów szkolnych się nie nadawał. Nauczycielki były internowane w obozach koncentracyjnych i wiosną 1945 r. ich losy nie były znane. W tych warunkach szkoła, a raczej szkółka, nie została już odtworzona, tym bardziej że przed Fundacją stały znacznie ważniejsze zadania.

Tymczasem nadal trwały starania o wyłączenie majątków rolnych Fundacji z parcelacji. 24 marca równocześnie starosta średzki W. Gaworski oraz śremski Kozłowski wystosowali do Urzędu Ziemskiego w Poznaniu pisma o wyłączenie tych gospodarstw, przy czym Środa argumentowała potrzebę zachowania ośrodków kultury rolnej, a Śrem obszernie (choć niezbyt zręcznie) przedstawiał cele Fundacji i konieczność ich realizacji. W tym samym czasie z podobnym pismem wystąpił starosta poznański, a mój przyjaciel mgr Mieczysław Nowicki z uwagi na duży majątek Trzebaw położony w powiecie poznańskim. W wyniku tych pism i osobistych zabiegów prezes Woj. Urzędu Ziemskiego Biel oraz wojewódzki pełnomocnik d/s reformy rolnej por. Cieślak, którego najtrudniej było przekonać, wspólnym pismem z dn. 13 kwietnia zawiadomili właściwe urzędy powiatowe o decyzji

wylączenia całej „ordynacji” (cudzystów mój) Kórnickiej na cele kultury rolnej i polecieli wstrzymać wszelkie prace parcelacyjne.

Warto tu dodać, że prowadzenie rozmów z urzędnikami różnego stopnia na temat wylączenia gospodarstw fundacyjnych nie należało do zajęć przyjemnych. Bardzo często argument rozmówcy brzmiał mniej więcej tak: „A! to obywatel sprzeciwia się reformie rolnej? To my wiemy, co z takimi zrobić!” Bywały i telefony do władz bezpieczeństwa, ale te były lepiej zorientowane od nadgorliwych reformatorów rolnych. Raz tylko miałem wizytę informacyjną kapitana z Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa, która skończyła się obietnicą pomocy, gdybyśmy mieli jakieś kłopoty w terenie, gdzie trafiali się właśnie wspomniani nadgorliwcy, niedostatecznie uświadomieni o rzeczywistych potrzebach rolnictwa.

Ku końcowi marca dr Bodniak, nie zrażony trudnościami komunikacyjnymi, wyjechał do Krakowa, zabierając memoriały na temat niepodzielności FZK. Zostały one opracowane przez: 1) p. Prusińskiego – co do całokształtu spraw majątkowych Fundacji (10 stron maszynowych), 2) doc. Bodniaka – co do Biblioteki Kórnickiej (5 stron, ale tak gęsto zapisanych, że wystarczały na 10 normalnych), 3) inż. Białoboka – dla Ogrodów Kórnickich (9 stron) i 4) inż. Porankiewicza – dla lasów. Było tego razem 33 strony! Jestem przekonany, że użyto w nich argumentów słusznych opartych na rzetelnych danych, ale było tam pełno informacji drobiazgowych, bez znaczenia dla władz nadrzędnych. No i kto miałby wiosną 1945 r. czas na czytanie takiej kolubryny? Przyznam się, że i ja tych elaboratów nigdy nie przeczytałem w całości.

Prócz tego dr Bodniak zabrał krótsze pisma przewodnie do Ministerstwa Rolnictwa i Reform Rolnych w Warszawie oraz do Naczelnej Dyrekcji Lasów w Łodzi, podlegającej wtedy także temu ministerstwu. Zostały one podpisane przez przebywających w Krakowie przedwojennych członków Kuratorium Fundacji: arcybiskupa-metropolitę Adama Stefana Sapiechę, prof. dr. Jana Gwiazdomorskiego i prof. dr. Zygmunta Lisowskiego, który zresztą niebawem wrócił do Poznania.

Cały ten materiał doc. Bodniak zawiózł do Warszawy i doręczył we właściwych ministerstwach. W Ministerstwie Oświaty rozmawiał z dyrektorem departamentu prof. dr. Stanisławem Arnoldem, ale na decyzje na szczeblu ministerialnym było jeszcze za wcześnie. Władze centralne – same jeszcze nie okrzepłe organizacyjnie – nie chciały niczego decydować w zasadniczej sprawie reformy rolnej bez wysłuchania opinii czynników lokalnych, a kontakt z tymi czynnikami był bardzo luźny.

W początku kwietnia mój zastępca w Rektoracie mgr Bogdan Paruzał pokonał trudności komunikacyjne i dojechał do Warszawy, na czym mu bardzo zależało z przyczyn osobistych. Zawiózł preliminarz budżetowy na najbliższy kwartał, a przyniósł pieniądze, instrukcje i informacje. Na moją prośbę przy okazji poruszył w Ministerstwie Oświaty sprawę Fundacji, prosząc o obronę jej interesów w resorcie rolnictwa. Dla Ministerstwa Oświaty był to drugi sygnał o istnieniu tego problemu, wywołujący konieczność zainteresowania się nim.

Wracając na przełomie marca i kwietnia z przymusowej wędrowki wojennej, przez kilka dni przebywał u mnie dr Tadeusz Rakowski, dopóki nie znalazł możliwości powrotu do Warszawy. Zabrał wtedy pismo z d. 6 IV 45 (ale tylko 1-stroni-

cowe!) do swego znajomego Wincentego Rzymowskiego, ministra kultury i sztuki. Dał mi później znać, że pismo doręczył osobiście ministrowi, który obiecał stanowcze poparcie naszych starań o wyłączenie ziemi Fundacji spod parcelacji.

Tymczasem wyrosło nowe zagrożenie, które teraz może wydawać się nieco śmieszne. I wtedy nie traktowałem tego zbyt poważnie, ale nie można było niebezpieczeństwa lekceważyć, lecz trzeba było z nim walczyć. Otóż okazało się, że równocześnie z decyzją o wyłączeniu majątków FZK z parcelacji Wojewódzki Urząd Ziemski skierował do Ministerstwa Rolnictwa wnioski o przekazanie całego tego zespołu rolnego względnie całości Zakładów Kórnickich gminie miasta Poznania na cele aprowizacji, opieki społecznej i pokrycie szkód wojennych poniesionych przez miasto i jego mieszkańców. (Widocznie nie tylko proboszcz bniński uważał, że Fundacja powinna odpowiadać za szkody wyrządzone przez hitlerowców!).

Dowiedziawszy się o tym, przygotowałem zaraz pismo — z datą 22 kwietnia 1945 — do Ministerstwa Oświaty, w którym m. in. napisałem: „Wniosek ten sam w sobie dziwny wydaje się tym bardziej niezrozumiały, że — jak to mogłem stwierdzić — ani prezydent miasta, ani kompetentny wydział Zarządu Miejskiego z inicjatywą w tym kierunku nie występowali i byli wręcz zaskoczeni propozycją Woj. Urzędu Ziemskiego”.

W Zarządzie Miejskim na różnych stanowiskach pracowali znajomi, którzy w czasie okupacji wielokrotnie proponowali mi powojenną prezydenturę miasta. Pomyślałem więc przez moment, że to może ich sprawka, aby mi uniemożliwić zajmowanie się Kórnikami, chyba że w ramach administracji miasta, chociaż trudno było podejrzewać ich o taki machiawelizm. Jednakże ich zaskoczenie wobec moich wymówek było tak nieudane, że u wierzyłem zaprzeczeniom. Dyr. Nikodem Tyrakowski, któremu podlegały nieruchomości miejskie oraz budżet i finanse, poszedł od razu do tymczasowego prezydenta miasta i wrócił z informacją, że prezydent też niczego o tej sprawie nie wie. Inny znajomy obiecał wywieść się, kto był „spiritus movens” w tej sprawie. Dopiero po jakimś czasie przyszedł do mnie z informacją, że to jeden z wyższych urzędników miejskich, podobno pochodzenia ziemiańskiego, kierujący m. in. sprawami opieki społecznej, zainicjował tę sprawę, aby — jak się złośliwie wyraził mój informator — mieć swoje podręczne majątki i atmosferę, do której był przyzwyczajony.

Sporo spraw uniwersyteckich wymagało omówienia w Warszawie i to w różnych ministerstwach; lepiej też było ważniejsze pisma doręczyć osobiście i to tak uniwersyteckie, jak i fundacyjne. Kłopot był tylko z przejazdem, gdyż kolej kursowała dopiero na niektórych odcinkach wobec zniszczenia mostów, wiaduktów i innych urządzeń. Naprawiano względnie odbudowywano je w bardzo szybkim tempie, ale przecież cudów nie było można zdziałać. Toć wojna jeszcze trwała i przerzuty wojsk miały pierwszeństwo przed wszystkim innym. Jeszcze w drugiej połowie czerwca jechałem do Warszawy koleją przez Śrem, Ostrów i Łódź, przy czym podróż trwała około 20 godzin. Jeżeli na tej trasie pociągi kursowały już w kwietniu, to jechało się o wiele dłużej i z kilku przesiadkami. Co odważniejsi podróżni korzystali z transportów wojskowych, w których składzie były nieraz puste wagony.

W samą porę spotkałem profesora Zygmunta Wojciechowskiego, który też

wybierał się do stolicy i miał niejasne informacje o jakimś połączeniu lotniczym. Wspólne starania dały rezultat: otrzymaliśmy zezwolenie wojewody dr. Feliksa Widy-Wirskiego na skorzystanie z radzieckiego samolotu wojskowego, utrzymującego komunikację jako tako regularną na linii Poznań—Łódź—Warszawa. Rano 24 kwietnia znaleźliśmy się na lotnisku w taką pogodę, że tylko ktoś nieświadomy mógł nie mieć obaw. Kwietniowy wicher o gwałtownych porywach przepędzał na niebie stada chmur prawie czarnych, z których mogła spaść i ulewa, i zamieć śnieżna. Wśród pasażerów było tylko sześć osób cywilnych, w tym trzy panie: wojewodzina Widy-Wirska, młoda panienka lecąca z ojcem tylko do Łodzi i trzecia pasażerka do Warszawy. Poza nami cywilami na odlot czekało dwudziestu wojskowych różnych stopni.

Odlot się opóźniał, bo najpierw przyszło dwóch pilotów, oczywiście wojskowych, wyraźnie w nazbyt różowych humorach. Długi czas trwało, zanim ich złuzowano i przysłano dwóch innych. W końcu wsiedliśmy. W kabinie samolotu było około 30 drewnianych siedzeń przymocowanych do ścian kabiny. Siedziało się więc tyłem do okienek. Górna część kabiny była poprzegradzana stalowymi linkami konstrukcyjnymi, co, jak się później okazało, ułatwiało przechodzenie w czasie gwałtownych przechyłów samolotu. Dla młodszych czytelników muszę tutaj dodać, że samolot nie był oczywiście odrzutowy, lecz motorowo-śmigłowy.

Zaledwie wystartowaliśmy, gdy podmuch wiatru maszynę obrócił nosem do dołu. Myśleliśmy, że to już koniec, ale pilotowi udało się samolot wyprostować, a może zrobił to następny poryw wiatru, i poleciliśmy. W panujących warunkach atmosferycznych samolot kołysał się niemiłosiernie, toteż nic dziwnego, że po niedługim czasie obie panie miały twarze lśniące od potu, ale wytrzymały. Tylko kilku wojskowych chorowało na dobre [...]. W Łodzi kilka osób wysiadło, nawet takie, które pierwotnie miały zamiar lecieć dalej, m. in. obie panie. Wicher dał teraz z boku i rzucał maszyną jeszcze gorzej niż przedtem. Czuliśmy się jak we wnętrzu piłki nożnej w czasie meczu. Toteż prawie wszyscy chorowali [...].

Już w czasie lotu pocieszałem prof. Wojciechowskiego, że drogę powrotną odbędziemy w warunkach mniej chorobotwórczych, gdyż samochodem ciężarowym. O kilka dni wcześniej U. P. otrzymał z Min. Oświaty zawiadomienie, że możemy uzyskać ciężarówkę z demobilu armii radzieckiej, ale trzeba przysłać po nią kierowcę i w Warszawie przeprowadzić remont. Uniwersytecki kierowca-mechanik Fojutowski, na cytadeli wlaź na minę i znalazł się na kilka miesięcy w szpitalu, posłałem więc innego kierowcę, p. Kosmowskiego, ale bez umiejętności mechanika. Miał w Warszawie dopilnować remontu.

W kompletnie zniszczonej Warszawie nie było wtedy gdzie się zakwaterować, a nasz pobyt był obliczony na kilka dni. Na szczęście mgr Paruzał, gdy był tam w początku kwietnia, dzięki niezwykle szczęśliwemu zbiegowi okoliczności uzyskał dla Uniwersytetu Poznańskiego „pied-à-terre” przy ul. Zajęczej. Górne kondygnacje domu były wypalone, ale ocalałe masywne stropy nad parterem dawały jakiś dach nad głową, chociaż szyby były zastąpione papierem gazetowym. Dokoła tylko same gruzy i ruiny. O samej tej kwaterze można by sporo napisać, ale „to już inna historia”, jak mawiał Kipling.

Prof. Wojciechowski miał do załatwienia przede wszystkim sprawy Instytutu Zachodniego, który zaczynał tworzyć, nie mając jeszcze zupełnie sprecyzowanej koncepcji. W wielu ówczesnych inicjatywach i przedsięwzięciach rzeczą istotną była zasadnicza myśl, na szczegóły nie było jeszcze czasu. Ja chodziłem za sprawami Uniwersytetu i Fundacji i to w różnych ministerstwach. To chodzenie (dosłowne) było znacznie ułatwione przez to, że wszystkie ministerstwa mieściły się w jednym budynku, w dyrekcji PKP na Pradze. Aby tam wejść, trzeba było mieć przepustkę, którą uzyskiwało się w biurze przepustek na rogu ulic Wileńskiej i Inżynierskiej. Nie będę tu opisywał dość skomplikowanej procedury uzyskiwania przepustki, wspomnę jedynie, że rzeczą podstawową była znajomość choćby jednego numeru telefonu dyrektora departamentu lub naczelnika wydziału, wiedzącego o co chodzi. Książki telefonicznej oczywiście nie było, panienki w dość licznych okienkach takich informacji nie udzielały. Prof. Wojciechowski i ja mieliśmy potrzebne telefony i wskazówki, dzięki czemu w ciągu kilkunastu minut otrzymaliśmy przepustki, ale niewtajemniczeni i mało rozgarnięci tracili nieraz cały dzień, bezsilnie miotając się w tym biurze.

Takie utrudnienia były w owym czasie nieuniknione i niezbędne, aczkolwiek dzisiaj mogą się wydawać dziwne.

W sprawach fundacyjnych chodziło o omówienie wyłączenia gospodarstw z parcelacji i o utracenie wniosku o przydzielenie ich miastu; ze względów taktycznych nie zamierzałem kłaść nacisku na zagadnienie zwrotu lasów. Prócz moich pism jako tymczasowego kuratora FZK wiozłem też obszerną „bumagę”, jak się wtedy powszechnie żartobliwie mówiło, Związku Zawodowego Pracowników U. P. do Prezydium Rady Ministrów przez Ministerstwo Oświaty, a to dlatego, że i Wojewódzki Urząd Ziemski swoją propozycję przydzielenia całej FZK względnie jej majątków rolnych Zarządowi Miejskiemu w Poznaniu adresował także do Prezydium Rady Ministrów. Związek Zawodowy Pracowników U. P. powstał zaraz po oswobodzeniu. Jego prezesem był dr Władysław Widy, laryngolog, sekretarzem p. Wincenty Skrzypczak z Kwestury, ja zaś byłem wiceprezesem. Memoriał Związku zawierał stanowczy protest przeciw propozycji Wojewódzkiego Urzędu Ziemskiego, żądanie zachowania samodzielności Fundacji, ewentualnie uwarunkowanej zmianami w statucie, a gdyby to nie było możliwe, to przydzielenie jej Uniwersytetowi Poznańskiemu, jako jedynej instytucji gwarantującej realizowanie celów FZK.

Uzbrojony w te pisma oraz materiały informacyjne prowadziłem rozmowy najpierw w Ministerstwie Oświaty z dyrektorem departamentu prof. Arnoldem oraz naczelnikiem wydziału dr. Geblewiczem. Dzięki poprzednim interwencjom doc. Bodniaka i mgr Paruzala zastałem teren już przygotowany i nie musiałem rozpoczynać „ab ovo”. Tutaj znalazłem pełne zrozumienie, podczas gdy w Ministerstwie Kultury zainteresowanie było raczej słabe; zdaje się, że napotkałem tam ludzi zupełnie przypadkowych i „tymczasowych”. Obaj moi rozmówcy wyraźnie uchylali się od zajęcia stanowiska, gdy słyszeli o reformie rolnej. Do min. Rzymowskiego nie do-  
tarłem.

Pisma i materiały oczywiście pozostawiłem także w Kulturze, ale byłem przekonany, że ważniejsza jest perswazja ustna niż pisma, zwłaszcza obszerne. Niemniej

odpowiednie pisma, memoriały i materiały informacyjne były potrzebne jako podkład dla późniejszych decyzji.

Sądziłem, że najtrudniejsza sprawa będzie w Ministerstwie Rolnictwa i Reform Rolnych. Najpierw zostałem przyjęty przez wiceministra (chyba Stanisława Tkaczowa). Niestety zaledwie rozmowa się rozkręciła, gdy wiceminister został telefonicznie wezwany na jakąś pilną naradę. Trafiłem wtedy do dyrektora departamentu Gawdy. Z istotą fundacji w ogóle był on dość dobrze obeznany i nie mylił ich z ordynacjami, co się zdarzało nie tylko w Wojewódzkim Urzędzie Ziemskim w Poznaniu, lecz o Zakładach Kórnickich zaledwie coś słyszał. Po długiej rozmowie wyszedłem od niego z nadzieją, że go przekonałem, co się później sprawdziło. Zdaje mi się, że to właśnie dyr. Gawda powiedział w późniejszej rozmowie: „Fundacje są najdawniejszą formą majątku społecznego, myślę więc, że socjalizm powinien je zachować”.

Tymczasem nasz pobyt w Warszawie przedłużał się, gdyż sprawy Uniwersytetu i Instytutu Zachodniego wymagały pewnego czasu, a i remont ciężarówki w warsztacie na Pradze przeciągał się. Mogłem dzięki temu dopilnować, aby nasze pisma nie grzęzły w głębokich szufladach, lecz szły w obieg służbowy, i aby zostały przygotowane odpowiednie pisma (które nieraz sam redagowałem) do Ministerstwa Rolnictwa i Reform Rolnych. Mechanicy, naprawiający ciężarówkę, tłumaczyli się, że pierwszy raz remontują wóz produkcji radzieckiej i że brak im części. Siedziałem nieraz godzinami w warsztacie na Pradze, aby jakoś wpłynąć na przyspieszenie pracy. Zdawałem sobie sprawę, że mechanicy czekają na obfity „napiwek” i chcą go ode mnie warszawskim zwyczajem wymusić złotym tempem, ale nie miałem z czego zrobić im prezentu.

Z zachowanej kopii likwidacji kosztów podróży widzę, że przelot do Warszawy kosztował wtedy 300 zł, dieta za jedną dobę wynosiła 150 zł. W tym wypadku Fundacja pokrywała diety za dwie doby a resztę Uniwersytet. Dla porównania, a raczej wskazania, jak chaotyczne były wtedy stosunki ekonomiczne, dodam, że kilo masła wiosną 1945 kosztowało 300 - 350 zł, podczas gdy np. moje wynagrodzenie wynosiło 840 zł plus mieszkanie. Było to wynagrodzenie z Uniwersytetu, dla Fundacji – jak już wspomniałem – pracowałem bezpłatnie: wtedy mówiło się „honorowo”, a teraz „społecznie”. Także za moje dojazdy do Kórnika, przeważnie rowerem, odkąd udało mi się nabyć gumy, nie likwidowały ani zwrotu kosztów, ani diet. Ostatecznie ciężarówka była naprawiona i wczesnym rankiem 1 maja wyruszyliśmy z Pragi. Tuż za bramą silnik zaczął tak strzelać, że mieszkańcy otwierali okna i wybiegali na ulicę sądząc, że to strzelanina na wiwat z racji oczekiwanego zakończenia wojny, albo może jakaś nowa walka uliczna. W drodze zatrzymał nas jakiś sierżant, który objaśnił nam, że mamy źle ustawiony zapłon. Majstrowali wspólnie z kierowcą i po jakimś czasie wóz potoczył się nieco ciszej, ale zawsze z szybkością nie przekraczającą 30 - 40 km/godz. Z dużym trudem i stratą czasu przedostaliśmy się przez most pontonowy do Warszawy, skąd zabraliśmy prof. Z. Wojciechowskiego i dr. Tadeusza Rakowskiego, który chciał dostać się do Poznania. Następnie z kilku podwarszawskich miejscowości zabraliśmy członków rodzin i różne bagaże profesorów poznańskich. Skrzynia ciężarówki nieźle się zapełniła, ale w drodze zabieraliśmy jeszcze dwukrotnie wojskowych radzieckich.

W mieszkaniu prof. Lehra-Splawińskiego (a może Antoniewicza?) prof. Wojciechowski zapakował spory plik niewielkich książeczek. Były one broszurowane w żółtym papierze. Do jednej z nich prof. Wojciechowski wpisał kilka słów i mi ją podał. Przeczytałem:

Karol Szajnocha — Szkice historyczne — Warszawa 1938. Dedykacja brzmiała:  
„Z wyrazami przyjaźni

Karol Szajnocha”

u dołu karty: „P. Mg. Gibasiewicz”

Widząc moje zdziwienie, prof. Wojciechowski, z którym wspólnie odbyliśmy już we wrześniu r. 1939 fatalną podróż ewakuacyjną z Poznania wyjaśnił: „To jest kilka moich prac na temat historycznych stosunków polsko-niemieckich, które zostały wydrukowane w czasie okupacji pod takim tytułem dla wprowadzenia Niemców w błąd”. Podziękowałem ze wzruszeniem: „Książeczka ta będzie u mnie miała zawsze szczególne miejsce!” Po latach pokazywałem ją mgr Stanisławie Jasińskiej, gdy po śmierci prof. Bodniaka pełniła obowiązki dyrektora Biblioteki Kórnickiej. Koniecznie chciała ją zdobyć dla Biblioteki, ale nie uległem. I dobrze, gdy bowiem — znowuż kilkanaście lat później — miałem przyjemność gościć redaktora Kazimierza Koźniewskiego i rozmowa któregoś dnia zeszła na książki, wyjąłem tę książeczkę z półki i pokazałem mu ją. Obejrzał ją z szczególnym wyrazem twarzy i pokkiwał głową: „Znam ją dobrze. Czy pozwoli Pan, że także kilka słów wpiszę?” I dopisał: „... i ja też (wprawdzie nie autor, ale współkonspirator tej książeczki, która powstawała w tajnej drukarni Departamentu Informacji Del. Rządu) — i ja też dziękuję za gościnę w Kórniku — K. Koźniewski (Weber) 15 VII 69”.

Ale powracam do 1 maja 1945. W końcu ruszyliśmy w kierunku Poznania, ale już po kikunastu kilometrach nasza ciężarówka zastrajkowała. Pominę dalsze perypetie, chwilami karkołomne, tej podróży i powiem tylko, że do Poznania dojechaliśmy późnym popołudniem dnia 3 maja. Byliśmy więc trzy dni w drodze z Warszawy do Poznania i nikt się nie niecierpliwił!

10 czerwca pojechałem ponownie do Warszawy, tym razem z doc. Bodniakiem. W poniedziałek, 11 tego miesiąca, dowiedziałem się w Ministerstwie Rolnictwa i Reform Rolnych, że dobiega końca opracowywanie wykazu majątków, które mają być wyłączone z parcelacji jako ośrodki kultury rolnej i że majątki FZK już figurują na tej liście. Wykaz będzie przedłożony czynnikom decydującym, więc mogą jeszcze nastąpić znaczne zmiany. Także w Ministerstwie Oświaty wyczuliśmy, że wieją pomyślniejsze wiatry, uznaliśmy zatem, że już czas pomyśleć o ponownym ukonstytuowaniu statutowych władz FZK i poczyniliśmy pierwsze w tym kierunku kroki. Było to tym bardziej uzasadnione, że tym razem także przedstawiciel Ministerstwa Kultury i Sztuki stał na stanowisku utrzymania Fundacji i zapewnienia jej materialnych podstaw egzystencji.

Z powodu pilnych spraw uniwersyteckich musiałem zaraz wracać do Poznania; doc. Bodniak natomiast pozostał dla przeprowadzenia dalszych rozmów w Warszawie oraz w Łodzi w Naczelnej Dyrekcji Lasów Państwowych. Po powrocie do Kór-

nika poinformował mnie listownie o swych pertraktacjach. List ten przytaczam wyjaśniając od razu, że minister oświaty Stanisław Skrzeszewski był znajomym doc. Bodniaka jeszcze z młodych lat [...].

Kórnik, dnia 15 czerwca 1945

Wielce Szanowny Panie Kuratorze!

Bilet znalazłem. Spóźniłem się, gdyż dopiero o 3<sup>h</sup> wyszedłem z gmachu Rządu. Zgodnie z planem udałem się najpierw do naczelnika Kwiatkowskiego. Zakomunikowałem mu wynik rozmowy z Manteufflem o Kasie Mianowskiego i wysunąłem ustalone z Panem propozycje w sprawie Kuratorium. Kwiatkowski oświadczył, że musi trzymać się ustawy o Fundacji. Ponieważ ustawa nie oznacza ściśle quorum, wystarczy, jeżeli powoła się sześciu członków dotychczasowych. Otóż K. zbada, czy Minister nie ma zastrzeżeń przeciw powoływaniu członków Związku Zamoyskich. Gdyby wysunięto jakieś zastrzeżenia, pominie się Związek, który, jak należy sądzić, nie istnieje obecnie z mocy ustawy (rozwiązanie wszystkich organizacji i stowarzyszeń, nowa rejestracja). Zresztą nie wiemy, gdzie szukać jego członków, potraktuje się więc ich per non sunt, a zwoła się resztę, tj. arcybiskupa Sapiechę; 2 delegatów Akademii, 2 delegatów Kasy i nowego delegata Ministerstwa Oświaty, wyznaczonego w miejsce nieobecnego Skowrońskiego. Mam przesłać po przybyciu do Kórnika wykaz imienny członków ostatniego Kuratorium. Zagadnąłem Kwiatkowskiego o opinię, którą miano przesłać Ministerstwu Rolnictwa do 5 VI. Otóż skierował mnie on do radcy Karpińskiego, referenta prawnego Min. Oświaty. Wymieniony referent miał już gotową opinię w brulionie ołówkowym. Dano mi ją do przeczytania. Gdy zaproponowałem wprowadzenie zmian, Kwiatkowski wyraził zgodę bez zastrzeżeń. Powiedział, że mogę podyktować, co uznaję jeszcze za potrzebne. Istotnie — poczyniłem poprawki i uzupełnienia. Jeszcze przy nim tak spreparowany tekst, aprobowany przez Arnolda, poszedł do maszyny. Zbyteczne dodawać, że opinia jest korzystna. Podkreślono w niej wieczystość i niepodzielność Fundacji, wskazano na wielkie jej znaczenie dla dobra publicznego.

Udałem się następnie do ministra Skrzeszewskiego. Przyrzekł on popieranie sprawy. Wyraził się dosłownie tak: „Będziemy Was bronić rękami i nogami”.

Już na odchodem zetknąłem się z prof. Kowalskim, sekretarzem Akademii Umiejętności. Powiedział mi, że Akademia nie odzyskała lasów. Sprawa jest już przesądzona na jej niekorzyść. Tyle w poniedziałek, tj. 11 VI 45. W tymże dniu wieczorem o godz. 8 wyruszyłem stosownie do umowy ku Łodzi. Przybyłem tam rankiem 12 VI i około g. 8 znalazłem się w Dyrekcji Lasów na ul. Zachodniej. Przeprowadziłem szereg rozmów z różnymi naczelnikami i dyrektorami (inż. Cydzik, inż. Stankiewicz, referent prawny inż. Zakrzewski i jeszcze jeden — nie pomnę nazwiska). Wynik — negatywny. Dekret o lasach jest tak sformułowany, że nie ma w nim nic, co by można interpretować na rzecz Fundacji. Wymienieni urzędnicy znali dobrze nasze sprawy i odnosili się do nich z dużą — jak wyczuwałem — nie symulowaną życzliwością. Doradzali takie drogi wyjścia:

1) Istnieje dekret o państwowej gospodarce leśnej (Dziennik Ustaw nr 75 poz. 533 z 30 IX 1936). Na podstawie tego dekretu mogłoby Ministerstwo Oświaty zażądać przydzielenia lasów Fundacji do swej dyspozycji i przekazać je następnie nam w użytkowanie.

2) Wszczęć wspólnie z Akademią Um. i innymi analogicznymi instytucjami starania o nowelizację dekretu o lasach z grudnia 1944.

3) Starać się o ekwiwalent w roli lub pieniądzech.

Co do tartaku — nie ma zarządzenia, które by umożliwiał zwrot. Radca prawny Stankiewicz stwierdził kategorycznie, że nie zna nic podobnego (tj. o owych 100 ludziach etc., jak nas informowano) a niepodobna, aby nie znał, ponieważ wszystko musi przechodzić przez jego ręce. Przypuszcza, że mógł istnieć taki projekt czy instrukcja w Ministerstwie Przemysłu, któremu podlegały do niedawna tartaki. Obecnie wszystkie tartaki są w ręku Dyrekcji Lasów. Otóż

nasz tartak stanowi organiczną część gospodarki leśnej i nie może być wydzielony żadną miarą z całości. Nie podlegają przejęciu przez Państwo tartaki, które nie były związane z określonym lasem, ale brały surowiec z różnych źródeł. Nasz tartak zbudowano celem uszlachetnienia własnej produkcji.

Na zakończenie konferowałem z samym dyrektorem Lasów Stanisławem Żemisem. Powiedział on mi mniej więcej tak: Zna cele Fundacji i jest dla niej życzliwie usposobiony, ale jasne i niedwuznaczne brzmienie dekretu wyklucza pomyślne załatwienie naszego dezyderatu. Przekroczyłby bowiem wyraźnie dekret, którego winien być odpowiedzialnym stróżem i wykonawcą. Dekret nie dopuszcza wyjątków. [...] Lecz tak kazało postąpić brzmienie dekretu, który zwalnia tylko lasy poniżej 25 ha. Bezwzględność dekretu jest uzasadniona ważnością lasów w gospodarce narodowej, zwłaszcza teraz po ogromnych spustoszeniach wojennych. Tyle pan Żemis.

Dyrekcja właśnie przygotowywała opinię. Radca Stankiewicz i Cydzik zakomunikowali mi jej tenor. Opowiada się ona za upaństwowieniem lasów w myśl dekretu. Proponowałem zmiany — bez skutku. Mamy więc za sobą Ministerstwo Oświaty, Ministerstwo Kultury i zasadniczo Ministerstwo Rolnictwa, przeciw — Dyрекcję Lasów.

Wieczorem o g. 8 wyruszyłem w dalszą drogę i rano 13 VI byłem w Kórniku. Tutaj zastałem wszystko w porządku. Sprawa mieszkań nadal trudna, bo dopiero co opuszczone domy zajęto znowu na kwatery. O 200 zł pamiętam i zwrócę przy najbliższym spotkaniu. Proszę przyjąć wyrazy wysokiego poważania

(—) Stan. Bodniak

Zdecydowanie negatywne stanowisko Naczelnej Dyrekcji Lasów wobec naszych usiłowań rewindykacyjnych potwierdziło niestety poprzednio posiadane informacje. Można było mieć tylko niewielką nadzieję, że w przyszłości wytworzy się lepsza koniunktura i pozwoli w tej czy innej formie odzyskać lasy i tartak, które zawsze — podkreślałem to — stanowiły główne i podstawowe źródło dochodów Fundacji. Na pierwszym planie pozostawała więc sprawa majątków rolnych, jako jedynej bazy materialnej dla realizowania celów, tzn. utrzymania zakładów naukowych i pedagogicznych, nie mówiąc o stypendiach itd.

Ku końcowi czerwca, przekonawszy się, że Wojewódzki Urząd Ziemski nie otrzymał z Warszawy żadnej wiadomości na temat wyłączeń z parcelacji, pojechałem znowu do Warszawy. Chodziło nam bardzo o ostateczną decyzję władz centralnych, gdyż nie ustawały próby lokalnych aktywistów reformy rolnej parcelowania to tego, to owego majątku, szczególnie w powiecie średzkim, co dezorganizowało gospodarkę. Od dyrektora Gawdy dowiedziałem się, iż lista wyłączeń, uzgodniona z wszystkimi departamentami i wydziałami, znajduje się do podpisania u wiceministra Szeli-Bieńka, właśnie nieobecnego. Dyrektor prosił mnie o przyjscie jeszcze raz około godz. 14, co było mi na rękę, ponieważ musiałem odwiedzić jeszcze kilka ministerstw w tym samym gmachu, a przede wszystkim Ministerstwo Finansów. O umówionej porze zobaczyłem dyrektora Gawdę nadchodzącego korytarzem. Spostrzegłszy mnie, pomachał z dala plikiem papierów. Domyśliłem się, że to lista wyłączeń szczęśliwie podpisana. Sprawdziliśmy zaraz, że na wykazie noszącym datę 26 czerwca są wszystkie majątki Fundacji, a tylko Kijewo w pow. średzkim zostało przeznaczone częściowo dla średniej szkoły rolniczej w Środzie Wlkp., a częściowo dla stacji doświadczalnej w Pętowie. Oczywiście formalne załatwienie całej tej sprawy zajęło jeszcze

blisko dwa miesiące czasu tak, że dopiero pismami z dn. 25 sierpnia 1945 r. Wojewódzki Urząd Ziemski polecił instancjom powiatowym przekazać Fundacji wszystkie majątki wyłączone. Było to w gruncie rzeczy zbędne, ponieważ Fundacja nimi przez cały czas zarządzała.

Naturalnie w czasie niezliczonych rozmów z władzami wojewódzkimi i centralnymi otrzymywaliśmy nieraz wiadomości mylne, nie wiadomo skąd powstałe. Np. wiceminister oświaty Bieńkowski informował mnie któregoś dnia, że na zarządzenie prezydenta Bieruta ma do Kórnika zjechać komisja złożona z przedstawicieli resortów oświaty, kultury i rolnictwa, aby na miejscu rozpatrzyć problem. Nikt poza nim o takiej komisji nie słyszał i nigdy jej nie było.

Decyzja Ministerstwa o wyłączeniu miała też swoją humorystyczną stronę: wszystkie majątki przydzielone uprzednio przez Wojewódzki Urząd Ziemski miastu Poznaniowi zostały w tym zarządzeniu przyznane Fundacji! Wyszło więc odwrotnie niż tego pragnęły niektóre czynniki miejskie [...]. Oczywiście nie reflektowaliśmy na te gospodarstwa.

Tak więc dalsze istnienie Fundacji było zapewnione i można było energiczniej pracować nad rekonstrukcją jej władz statutowych. Zanim opiszę te sprawy, chciałbym jednak jeszcze nieco uwagi poświęcić nowemu zagadnieniu rolnemu.

W początku lipca wypadł mi wyjazd do Gorzonia, majątku w powiecie międzychodzkiem przydzielonego Uniwersytetowi dla Wydziału Rolniczo-Leśnego. W poszukiwaniu niezbędnie tam potrzebnych materiałów budowlanych objechałem nie tylko pow. międzychodzki, gdzie miałem trochę znajomych, ale także część powiatu skwierzyńskiego. Wynikło z tego zainteresowanie tym terenem w owym czasie niemal bezludnym, a położonym w obrębie województwa poznańskiego. Także komunikacja z tą okolicą nie nastroczała trudności. Z myślą o ewentualnym ekwiwalencie za lasy zacząłem sondować przez osoby pośrednie stanowisko władz powiatowych. Komisarz ziemski inż. Moskałow odniósł się do pomysłu wręcz entuzjastycznie, widząc w Fundacji ewentualnego sojusznika w zagospodarowaniu dużego obszaru ziemi wtedy porośniętego tylko chwastami. Istotnie pola były tak obficie i gęsto zarośnięte tzw. kanadyjczykiem (*erigerum canadense* — jeżeli mnie pamięć nie myli), który niedawno przybył do Europy, że robiło to wrażenie plantacji. Nieco lepszy stan był jedynie w majątkach zajmowanych czasowo przez armię radziecką, bo pasące się bydło kanadyjczyka nie zżerało, ale chociaż częściowo zdeptywało.

W rezultacie skierowałem na ten teren fachowego rolnika inż. Stachowiaka, który obejrzał wstępnie majątki wskazane przez Powiatowy Urząd Ziemski i wybrał do ewentualnego przejęcia przez Fundację 9 gospodarstw o łącznym obszarze 4439 ha ziemi i 491 ha jezior z 7 gorzelniami i 1 płatkarnią. Rzecz wymagała jednak gruntownego przemyślenia, gdyż objęcie tej ziemi mogło być interpretowane jako rezygnacja z rewindykacji lasów. Ponadto zagospodarowanie tego obszaru zupełnie od podstaw stanowiłoby ogromny ciężar o perspektywach zupełnie niejasnych, skoro gospodarstwa własne Fundacji wymagały doinwestowania. Pierwsze po wojnie zebranie Kuratorium było tuż — tuż, więc decyzję w tej sprawie pozostawiłem statutowym organom instytucji. Kuratorium wprawdzie wypowiedziało się za przejęciem

tych gospodarstw, ale później dla zarządu Fundacji silniejsze były argumenty negatywne, zwłaszcza ryzyko gospodarcze, i sprawa upadła. Władze powiatu skierniewickiego jeszcze powracały do tego projektu, ale bezskutecznie.

Zdaje się, że decyzja negatywna nie była korzystna dla naszej instytucji, gdyż lasów tak czy owak nie udało się odzyskać. Jednakże rozważania na temat co by było, gdyby... uważałem zawsze za pozbawione sensu.

Tymczasem – zaraz po otrzymaniu przytoczonego wyżej listu doc. Bodniaka – zabrałem się do przygotowania posiedzenia Kuratorium Fundacji. Pierwszym krokiem w tym kierunku były listy z dn. 16 VI do prof. Zygmunta Lisowskiego, przedwojennego członka Kuratorium, i prof. Wiktora Schramma, tuż przed wybuchem wojny wybranego członkiem zarządu, z zaproszeniem na naradę. W ciągu czterech miesięcy, które minęły od wyzwolenia spod okupacji hitlerowskiej, ustaliła się praktyka, że wybory do ciał kolegialnych i na urzędy dokonane przed wybuchem wojny uważano za nadal prawomocne, traktując czas okupacji jako niebyły. Na tej zasadzie m. in. rektorem Uniwersytetu Poznańskiego został prof. dr Stefan Dąbrowski, chociaż w r. 1939 nie zdążył objąć swego urzędu.

Profesorowie Lisowski i Schramm mieszkali w Poznaniu, co ułatwiało porozumienie, ale sami o niczym decydować nie mogli. Z zarządu żył tylko prof. Schramm, uchwytني byli tylko dwaj dalsi członkowie Kuratorium w osobach arcybiskupa Adama Stefana Sapięhy i prof. dr Jana Gwiazdomorskiego, obaj w Krakowie. Wywiązała się korespondencja, w której arcybiskup wyraził życzenie odbycia posiedzenia w Krakowie, ponieważ trudności komunikacyjne w połączeniu ze stanem zdrowia nie pozwolą mu przyjechać do Kórnika (arcybiskup miał wtedy już 78 lat, a nie posiadał samochodu). Chociaż jego życzenie miało tym większą wagę, że w czasie okupacji zyskał sobie znaczny szacunek, ustaliliśmy jednak, że posiedzenie odbędzie się w Kórniku w połowie września w połączeniu z dożynkami dla wszystkich majątków. W liście do ks. Sapięhy miejsce posiedzenia uzasadniłem tym, że dożynki z udziałem wysokich władz są nam potrzebne ze względów propagandowych; w Krakowie taka impreza nie byłaby możliwa, nie mówiąc o znacznej różnicy kosztów na korzyść Kórnika.

Największą trudność sprawiało skompletowanie składu Kuratorium, aby posiedzenie nie tylko mogło się odbyć, ale było też prawomocne. O żadnym z pięciu przedstawicieli Związku Zamoyskich nie było wiadomo, gdzie się znajdowali. Nie było więc można żadnego z nich zawiadomić o posiedzeniu, nawet gdyby stanąć na stanowisku, iż ich przedwojenna kadencja biegnie dalej, chociaż delegujące ich towarzystwo już nie istnieje, a takiego zdania byli obaj prawnicy prof. Lisowski i prof. Gwiazdomorski. Ściśle formalnie rzecz biorąc, uchwały pozostałych sześciu członków byłyby prawomocne w obecności wszystkich, a wiadomo było z góry, że arcybiskup nie przyjedzie. Braliśmy więc pod uwagę możliwość dołączenia się do uchwał Kuratorium dalszych jego członków nieobecnych na posiedzeniu. W każdym razie było rzeczą konieczną, aby Kuratorium się zebrało, gdyż przeciąganie stanu tymczasowości poza konieczne minimum nie było korzystne dla instytucji. Z drugiej strony już w czerwcu oświadczyłem w Ministerstwie Oświaty, że pragnę

zrezygnować z funkcji tymczasowego kuratora, ponieważ zanadto mnie obciążają. Ministerstwo na to się nie zgadzało, gdyż jeszcze nie miał kto przejąć tych funkcji. Stało więc na tym, że Kuratorium się zbierze.

Przedwojenni delegaci Polskiej Akademii Umiejętności na szczęście żyli: byli to wspomniani już wyżej profesorowie Jan Gwiazdomorski oraz Zygmunt Lisowski. Kasa im. Mianowskiego wydelegowała dr. Kazimierza Piwarskiego, profesora Uniwersytetu Jagiellońskiego i inż. Henryka Mianowskiego, dyrektora Izby Przemysłowo-Handlowej w Krakowie.

W tym układzie szczególnej wagi nabierał delegat ministra oświaty. Przed wojną był nim — i zarazem przewodniczącym Komisji Rewizyjnej — dr Zygmunt Skowroński, zastępca szefa kancelarii cywilnej Prezydenta R. P. Jego miejsce pobytu nie było znane. Mówiono, że w czasie wojny był w Afryce północnej. Toteż zaraz w pierwszych rozmowach w Ministerstwie Oświaty tak doc. Bodniaka, jak moich poruszaliśmy potrzebę powołania nowego delegata ministra do Kuratorium, proponując prof. Z. Wojciechowskiego lub prof. Tadeusza Kurkiewicza. W późniejszych rozmowach kandydatura prof. Wojciechowskiego odpadła. Ministerstwo było też zgodne, że powinien to być ktoś z Poznania, ale nie dokonywało nominacji. W ostatniej dekadzie sierpnia byłem w Warszawie dla osobistego doręczenia kilku zaproszeń na posiedzenie Kuratorium, m. in. ministrowi oświaty, którym był Czesław Wycech, od niedawna kierujący tym resortem. Wypadło mi więc znowu udzielić licznych wyjaśnień na temat FZK. Na koniec poruszyłem sprawę powołania delegata ministra do Kuratorium, wiedząc od prof. Arnolda, że rzecz leży u ministra. Nie był on widocznie jeszcze przygotowany do podjęcia decyzji personalnej, ja zaś forsowałem osobę prof. Kurkiewicza, znając go z jego działalności na stanowisku dziekana Wydziału Lekarskiego i w Senacie [...]. Był to człowiek bardzo rzeczowy, obiektywny, wnikliwy i energiczny. Ze względu na jego ateizm zapytałem któregoś dnia prof. Kurkiewicza o możliwość jego współpracy na terenie FZK z arcybiskupem Sapiehą. Odpowiedział, że różnice światopoglądowe bynajmniej nie wykluczają współpracy w ramach instytucji społecznej, dopóki wszystkim chodzi rzeczywiście o dobro tej instytucji.

W czasie tej rozmowy min. Wycech właśnie zastanawiał się nad decyzją, a może nad tym, jakby tu pozbyć się natręta, gdy do gabinetu wbiegła kilkunastoletnia dziewczątka i od drzwi zawołała: „Panie Ministrze, w suterynie wydają marmoladę, proszę odebrać!” Minister porwał blaszane wiaderko spod biurka, powiedział coś wymijającego pod moim adresem i wybiegł, rad z dywersji.

Na jego powrót nie czekałem.

Po powrocie z Warszawy skierowałem prywatny list do dr. Kwiatkowskiego, korzystając ze znajomości wprawdzie tylko służbowej, ale trwającej od r. 1934. W liście tym prosiłem, aby ze swej strony przypominał i popychał powołanie delegata ministra. Jeżeli minister nie chce prof. Kurkiewicza, to niechże będzie kto inny. Zresztą minister może wyznaczyć delegata tylko na to jedno posiedzenie Kuratorium i w ten sposób zyskać czas na dokonanie wyboru delegata na stałe. Na kilka dni przed posiedzeniem wyznaczonym na 15 i 16 września wysłałem jeszcze

ponaglącą depeszę do Ministerstwa i nareszcie 2 dni przed terminem zadzwonił prof. Kurkiewicz, że otrzymał telegraficzną nominację na delegata ministra oświaty do Kuratorium FZK.

Odetchnąłem! Miałem już teraz pełną nadzieję, że zebranie Kuratorium dojdzie do skutku i będzie mogło powziąć prawomocne uchwały, choćby nawet jednego głosu brakło do quorum.

Równolegle trzeba było myśleć o zaproszeniu we właściwym terminie patronów Fundacji, którymi z mocy ustawy byli każdorazowy prezydent R. P. i prymas, tzn. arcybiskup gnieźnieński. Fundator Władysław Zamoyski pragnął widocznie swojemu duchowemu dziecku zapewnić wszechstronną opiekę i dlatego w ustawie będącej statutem Fundacji umieścił aż dwóch patronów, co prawda o kompetencjach nieokreślonych, a więc właściwie żadnych. Na podstawie doświadczeń roku 1922 liczył się może z tym, że prezydent może być lewicowcem, więc dla przeciwwagi wyznaczył drugiego patrona w osobie prymasa. Mogło to być też wynikiem jego niezwyklej religijności.

Tymczasem wskutek zachowania się kardynała-prymasa Augusta Hlonda i niektórych posunięć rządowych, jak np. upaństwowienia lasów także kościelnych, współdziałanie patronów stało się zagadnieniem bardzo delikatnym.

Sięgnę tu nieco wstecz i zacznę od osoby kardynała.

Po raz pierwszy zetknąłem się z nim jako arcybiskupem gnieźnieńsko-poznańskim (jeszcze nie kardynałem) za moich czasów studenckich w r. 1927 w związku z organizowaniem w Poznaniu zjazdu ogólnoakademickiego. Nagły wyjazd do Rzymu po kapelusz kardynalski stał się przyczyną, że prymas w ostatniej chwili przed otwarciem zjazdu narobił zamieszania. W rezultacie otwarcie zjazdu opóźniło się o prawie pół godziny, co bardzo zdenerwowało prezydenta Ratajskiego. Robił mi z tego powodu ostre wymówki, a gdy usiłowałem zasłonić się arcybiskupem, rozgniewał się jeszcze bardziej. Na szczęście przyszedł mi z pomocą rektor Stanisław Dobrzycki. Dopiero później dobrzy ludzie poinformowali mnie, dlaczego prezydent miasta nie lubił wyższego duchowieństwa, a po kilku miesiącach przekonałem się, że prezydent tego błędnego zdarzenia mi nie pamiętał, może dlatego, że sobie ulżył.

Po latach spędzonych z dala od Poznania widywałem kardynała Hlonda w Rektoracie Uniwersytetu. Za czasów prof. Runego (1933 - 1936), który często podkreślał, iż jest niewierzącym, prymas zjawiał się tylko przy wyjątkowych okazjach, natomiast znacznie częściej za rektoratu prof. Antoniego Peretiatkowicza (1936 - 1939), który w ogóle zamknięty w sobie nie ujawniał swoich poglądów ani religijnych, ani politycznych. Jego niechęć do udziału w ceremoniach religijnych była jednak wyraźna; przynajmniej wobec mnie jej nie tał.

Prymas był mężczyzną wysokim, barczystym, dobrze odżywionym, choć nie otyłym, jednym słowem postawnym co się zowie. Purpurowe szaty kardynalskie, chociaż anachroniczne, niewątpliwie dodawały mu blasku i autorytetu. Właśnie na tym tle rozmawialiśmy kiedyś z psychologiem prof. drem Stefanem Błachowskim o znaczeniu munduru, zwłaszcza strojnego. Przy powitaniu prymas podawał rękę zwyczajnie, nie odwracając dłoni do pocałowania pierścienia, jak to widziałem wiele lat wcześniej u biskupa Łukomskiego, o kilkanaście lat starszego. Była to może

różnica pokoleń — przedwojennego i powojennego w odniesieniu do I wojny światowej. Nigdy też nie widziałem, aby ktokolwiek przy tym przykleknął, co ponoć było dawniej praktykowane, szczególnie w środowisku wiejskim. Są to szczegóły bez znaczenia, ale odegrają one pewną rolę w zabawnym epizodzie w końcu tej części moich wspomnień.

Po wybuchu II wojny prymas wyjechał za granicę, co wielu — nawet spośród bardzo gorliwych katolików — miało mu za złe. Wrócił do Poznania w maju lub początku czerwca 1945 i zamieszkał w żeńskim klasztorze na tyłach kościoła Matki Boskiej Bolesnej przy ul. Marsz. Focha (teraz Głogowska), gdyż pałac arcybiskupi był bardzo uszkodzony w czasie działań wojennych. Władze państwowe potraktował kardynał jako nieistniejące, „per non sunt”, jakby to określił dr Kwiatkowski.

Krążyły pogłoski, że wojewoda dr Feliks Widy-Wirski przez działaczy katolickich daremnie usiłował nakłonić kardynała do złożenia wizyty prezydentowi Krajowej Rady Narodowej Bolesławowi Bierutowi w Warszawie. Podobno także na kilka innych propozycji nawiązania choćby formalnego kontaktu prymas także nie zareagował.

Szczegóły tej gry nie były mi znane, nie wiedziałem też, ile w tych pogłoskach jest prawdy, ale nawet ktoś, tak słabo politycznie zorientowany jak ja, musiał zdawać sobie sprawę, że w konkretnych okolicznościach ewentualne zetknięcie się prezydenta Bieruta z prymasem z okazji zebrania się Kuratorium FZK mogło być wydarzeniem politycznym. Nie mogłem aranżować tego bez wiedzy i zgody gospodarza terenu. Udałem się tedy do wojewody. Wpierw był bardzo poruszony tym, że „chce mi pan tu sprowadzić najwyższą władzę”, ale po namyśle zgodził się i obiecał przyjechać do Kórniku na dożynki.

Zaproszenie na posiedzenie Kuratorium wypadało doręczyć obu patronom osobiście i oczywiście należało zacząć od głowy Państwa. Ale mieszkalem zaledwie o jakieś 300 m od siedziby prymasa na narożniku ul. Marsz. Focha i Klaudyny Potockiej (teraz Rutkowskiego) i sądziłem, iż lepiej będzie, jeżeli, jadąc do Warszawy, będę zorientowany, co o tym myśli prymas. Zostałem przyjęty około 20 sierpnia. Kardynał przeczytał zaproszenie, zadał kilka pytań dotyczących stanu Fundacji, wspominał coś o fundacji potulickiej, zajrzał do terminarza i obiecał przyjechać na krótko pierwszego lub drugiego dnia zebrania Kuratorium. Na samym wstępie, przy wręczaniu zaproszenia, wspomniałem o drugim patronie w osobie prezydenta Bieruta, ale nie zwrócił na to uwagi, przynajmniej na pozór.

Teraz czekała mnie wizyta u prezydenta Bieruta.

I tu znowu cofnę się wspomnieniem, ale tym razem tylko o kilka miesięcy. Było to chyba w początku marca — a może nieco później — gdy do biura Uniwersytetu na Słowackiego 20 przybył jeden z moich byłych podkomendnych w milicji, który pozostał w budynku gimnazjum Mickiewicza jako naczelnik wydziału w Zarządzie Miejskim. Przyszedł z wiadomością, że następnego dnia odbędzie się przed tym gmachem pierwsza w pookupacyjnym Poznaniu defilada Wojska Polskiego i z zaproszeniem dla mnie na trybunę.

W dniu defilady dał silny wiatr tak zimny, że nawet szybki marsz z ul. Słowackiego

do gimnazjum przy ul. Marsz. Focha mnie nie rozgrzał. Wszyscy w Poznaniu mieliśmy za sobą wieloletnie niedożywienie przy nieustannym napięciu nerwów, a teraz kilkutygodniowy okres pracy prawie ponad siły. W mieście pozbawionym jeszcze regularnej aprowizacji wychudzony organizm dotkliwie odczuwał niedostatek kalorii.

Przed gimnazjum była ustawiona trybuna uderzająco mała. Zaraz mi się przypomniała trybuna, przed którą w niedzielę 8 grudnia 1944 r. tutaj w Poznaniu, ale na ul. Wjazdowej (teraz górna część ul. Czerwonej Armii, między aulą uniwersytecką a zamkiem) defilował „Volkssturm”, ostatnia nadzieja hitlerowców. Była ta trybuna tak wąska, że w pierwszym szeregu z trudem mieścili się obok siebie Heinrich Himmler, gen. Guderian i Greiser. Było to zaledwie przed czterema miesiącami, a zdawało się, że to cała epoka minęła.

W drzwiach gmachu spotkałem niedużą grupę generałów i cywilów wychodzących w kierunku trybuny, więc dołączyłem się. Tak się złożyło, że na trybunie stanąłem obok nie znanego mi mężczyzny lat powyżej 50, o pół głowy niższego ode mnie. Przedstawiłem się, ale orkiestra już grała po drugiej stronie jezdni; mój sąsiad na pewno mnie nie zrozumiał, jak i ja jego. Defilowała druga dywizja 1 Armii W. P. Później mówiono, że defiladę prowadził gen. Stanisław Popławski, ale nie wiem, czy tak było rzeczywiście. Po defiladzie, która trwała około godziny, a może i więcej, przemarznięci do kości poszliśmy jak najprędzej do budynku, gdzie na szczęście czekała na nas gorąca herbata. Wtedy to dowiedziałem się, że moim sąsiadem na trybunie był Bolesław Bierut. Przyznam się, że było to wtedy dla mnie tylko jedno z nowych nazwisk. Radia nie miałem, bo je zabrali Niemcy, Lublin był daleko, a informacja publiczna jeszcze skąpa. Wiedziałem, że jest to jedna z ważniejszych postaci w rządzie i to było wszystko.

Może na skutek zziębnięcia, może z innej przyczyny wiele szczegółów z tej defilady tak mi się zatarło w pamięci, np. kto tam był z osobistości cywilnych, że mógłbym wątpić w realność tego, co odżywa we wspomnieniu. Na szczęście w r. 1947 lub 1948 p. Flora Czarnecka pokazała mi broszurę o pierwszych tygodniach oswobodzonego Poznania, gdzie na kiepskiej reprodukcji fotografii z tej defilady widoczny był B. Bierut i mój profil obok niego. Niestety nie postarałem się o tę broszurę, ani też nie zapamiętałem jej autora czy tytułu.

Herbatę piliśmy szybko, ponieważ trzeba było pójść na Rynek Łazarski na dalszy ciąg uroczystości. W drodze B. Bierut zapytał mnie, czy przebywałem w Poznaniu w czasie okupacji i ostatnich walk oraz wypytywał o ich przebieg. Wiedział o znacznych zniszczeniach w mieście, a jednak był zaskoczony ich ogromem, jak bowiem prawie cała Polska nie uświadamiał sobie, że zażarte walki trwały tu cały miesiąc. Gdy bito się na ulicach Poznania i miasto płonęło, reszta Polski była już zajęta odbudową życia społecznego, państwowego i gospodarczego. A zresztą emocjowała się zwycięską ofensywą armii radzieckiej w kierunku zachodnim i północnym oraz walkami na innych frontach, czekając na definitywną klęskę III Rzeszy.

Na Rynku Łazarskim był już ustawiony ołtarz polowy i stała cała defilująca poprzednio dywizja. Usiadłem za Bolesławem Bierutem, chociaż w pierwszym szeregu krzeseł pozostało jeszcze sporo miejsc wolnych. Po mszy św. jak tylko wojsko zaczęło odmarsz, szybko wróciłem do biura.

Od tej defilady minęło 5 miesięcy o wadze okresu dziejowego. Prezydent Bierut widział w tym czasie setki, a nawet tysiące nowych twarzy, jego stanowisko ogromnie urosło, nie będzie zatem mnie już pamiętał. No i będę musiał przejść przez sito biura przepustek i sekretariatu, aby uzyskać audiencję. Poprosiłem więc wojewodę o kilka słów polecających, które uprzejmie skreślił na bilecie skierowanym do p. Wandy Górskiej, sekretarki prezydenta.

Nawinęła się okazja — do Warszawy jechał służbowym samochodem wojskowym płk prof. dr Kucharski, który mnie zabrał. Nasz pied-à-terre przy ul. Zajęczyej już nie istniał, ale Uniwersytet Warszawski uruchomił pokoje gościnne przy Krakowskim Przedmieściu. Zakwaterowałem się tam ok. godz. 15 — z powodu okresu wakacyjnego byłem jedynym gościem w pokoju wieloosobowym — i nieco ogarnąwszy się po podróży ruszyłem do Belwederu, oczywiście pieszo poprzez stosy gruzów aby uzyskać jak najwcześniejszy termin przyjęcia. Było już dobrze po godz. 16, gdy wchodziłem do biura przepustek, więc liczyłem się z tym, że tego dnia już niczego nie załatwię, ale przynajmniej dowiem się, jaka jest procedura.

A tymczasem nie trwało nawet 15 minut, a już byłem w Belwederze i wchodziłem na I piętro, gdzie p. Wanda Górską przyjęła mnie bardzo uprzejmie. Na zapytanie, kiedy przewodniczący będzie mógł mnie przyjąć (B. Bierut był wtedy formalnie przewodniczącym Krajowej Rady Narodowej, ale pamięć uparcie mi podpowiada, że już wówczas tytułowano go powszechnie prezydentem), dowiedziałem się, że najdalej za kilkanaście minut, jak tylko wyjdzie petentka, z którą właśnie rozmawia. W rzeczywistości owa pani wyszła, zaledwie zdążyliśmy zamienić kilka zdań. P. Górską zaraz przeprowadziła mnie przez pokój umeblowany skromnymi meblami jadalnymi do gabinetu faktycznego szefa Państwa.

Rozmowę zacząłem od pytania, czy prezydent (już przy tym tytule pozostaną) wie, co to jest Fundacja Zakłady Kórnickie? Negatywna odpowiedź była tylko potwierdzeniem mojego przypuszczenia, że tasiemcowe memoriały, wysłane z Kórnika w marcu także na adres przewodniczącego KRN, do niego w ogóle nie dotarły. W najkrótszej tedy formie wyjaśniłem istotę instytucji, wręczając zarazem mojemu rozmówcy zaproszenie i materiał informacyjny o Fundacji. Prezydent słuchał uważnie i z zainteresowaniem, zadając pytania rzeczowe, świadczące o szybkiej orientacji. Jego zainteresowanie wyraźnie wzrosło, gdy powiedziałem, że drugim patronem FZK jest każdorazowy prymas. Nie mogłem, rzecz prosta, przyznać się, że już u niego byłem, na zapytanie więc wyraziłem tylko przypuszczenie, że może przyjechać na zebranie Kuratorium, gdyż z Poznania do Kórnika jest tylko 25 km, a słyszałem, że prymas ostatnio dużo jeździł po diecezji. Prezydent zapytał się jeszcze o szczegóły programu, a po chwili namysłu powiedział: „Dobrze, przyjadę, a jeżeli nie będę mógł, to przyślę pana Schwalbego”. (Stanisław Schwalbe był wiceprzewodniczącym KRN).

Podziękowałem i wstałem, uważając rozmowę za skończoną, ale prezydent zatrzymał mnie: „Gdzie ja pana już widziałem?” Przypomniałem mu więc defiladę w Poznaniu. Dowiedziałem się wtedy, że prezydent nabawił się w Poznaniu niezłego zaziębienia. Potem rozmowa zeszła na zniszczenia w Polsce i zagadnienia odbudowy, szczególnie Warszawy i Poznania. Prezydent mówił o trudnościach

w pracy władz centralnych, wynikających z braku pomieszczeń w Warszawie i wspominał o propozycji umieszczenia stolicy w Łodzi, która nie jest zniszczona, a nawet bardziej centralnie położona niż Warszawa. „Ale zakończył — siedzimy już w Warszawie i tu pozostaniemy”. Zwróciłem wtedy uwagę, że w nowym układzie granic najbardziej centralne położenie ma zapewne Poznań, który był też pierwszą historyczną stolicą Polski. Przy tym Wielkopolska jest niewątpliwie wśród ziem polskich najbardziej praworzadna i gospodarna, co w okresie zamieszania powojennego i głębokich przemian może mieć szczególne znaczenie. Prezydent w zamyśleniu pokiwiał głową: „W tym jest sporo racji, ale z pomieszczeniami dla władz centralnych byłoby tam jeszcze gorzej niż tu. Bądź co bądź w Warszawie były gmachy ministerstw i niektóre nadają się do dość szybkiej odbudowy, a w Poznaniu ich w ogóle nie było. Są tu też pałace, które pewno będzie można zaadaptować”. I powtórzył z uśmiechem: „Już tu zostaniemy”.

Następnego dnia byłem u ministra oświaty Wycecha, o czym już pisałem, a potem poszedłem wręczyć zaproszenie p. Władysławowi Kowalskiemu, ministrowi kultury i sztuki, którego to wcale nie zainteresowało. Zbiegiem okoliczności obaj ministrowie, których tego dnia odwiedziłem, byli później marszałkami Sejmu.

Czekając w sekretariacie min. Kowalskiego na przyjęcie dowiedziałem się z rozmowy urzędników, że w Ministerstwie są prezydent Poznania mgr Stanisław Sroka oraz wiceprezydent Drabowicz. O ile pierwszy odnosił się do mnie z niechęcią — co mu później minęło — to stosunki z drugim były jak najlepsze. Jedno i drugie miało swoje źródło w wyborach na stanowisko prezydenta miasta w czerwcu tego roku, chociaż z p. Drabowiczem znaliśmy się już dawniej. Odszukałem w Ministerstwie wiceprezydenta Drabowicza, licząc na to, że przyjechali samochodem i zabiorą mnie w drogę powrotną. Nie omyliłem się, rzeczywiście mogłem z nimi wracać następnego dnia, co dawało mi czas na załatwienie jeszcze spraw uniwersyteckich. Moje skrupuły w związku z niechęcią prezydenta Sroki uspokoił p. Drabowicz wyjaśnieniem, że jadą jego samochodem służbowym, którym dysponuje on a nie prezydent. Jechał jeszcze znajomy naczelnik wydziału, więc w trójkę usiedliśmy na tylnym siedzeniu „Opla-Olimpii” niezbyt szerokim, ale wystarczającym dla trzech chudzielców. Z przodu posadziliśmy mgr Srokę obok kierowcy, którym był także znajomy, eks-tramwajarz, a właściwie kierowca trolejbusów, które w owych czasach kursowały ze Śródkki na Główną. Wszystko szło gładko aż poza Łowicz. Tam wytopiły się panewki, a pod Kostrzynem wysiadła pompka paliwa. Mimo że była godzina 2 w nocy i czasy jeszcze niespokojne prezydent Sroka z naczelnikiem wydziału powędrowali pieszo do Kostrzyna i tam z wielkim trudem i po długim pukaniu dostali się do telefonu na posterunku MO i wezwali straż pożarną z Poznania. O porannym brzasku ciągnięni przez wóz strażyacki dobrnęliśmy szczęśliwie do naszego miasta.

Mimo tak pechowej podróży wróciłem z Warszawy w dobrym nastroju przekonany, że przyjazd patronów do Kórnika dojdzie do skutku. Niestety po kilkunastu dniach — dokładnie 12 września — nastąpiło zerwanie konkordatu z Watykanem. Prasa uzasadniała to tym, że Watykan w czasie wojny sprzyjał III Rzeszy oraz że nie uznał polskiego Rządu Jedności Narodowej. Było rzeczą jasną, że zain-

interesowanie prezydenta Bieruta spotkaniem z prymasem stało się w tej sytuacji bezprzedmiotowe, a po stronie prymasa też nie mogło być inaczej. Tym samym wszystkie moje starania o udział patronów w zebraniu Kuratorium wpadły do wody.

Wzrosły przez to obawy, czy to zebranie rzeczywiście dojdzie do skutku. Funkcjonowanie kolei stopniowo się poprawiało, ale nadal przejazd na trasie Kraków – Poznań trwał kilkanaście do dwudziestu godzin w ogromnym tłoku. Rozkład jazdy miał wartość tylko przybliżoną. Trzej członkowie Kuratorium, mieszkający w Krakowie, zapewniali, że przyjadą, ale czy któryś z nich w ostatniej chwili się nie cofnie? Przecież to nie byli młodzi ludzie.

Dwudniowy program przewidywał, że w sobotę 15 września po porannej mszy za dusze fundatorów i zmarłych członków władz Fundacji i jej pracowników, zwłaszcza zamordowanych przez hitlerowców, odbędzie się zwiedzanie zamku i parku. Po południu odbędą się dożynki zbiorowe dla wszystkich gospodarstw fundacyjnych. Ze względów propagandowych na ten dzień byli zaproszeni i faktycznie przybyli wojewoda, rektor i prorektor Uniwersytetu Poznańskiego, wojewódzki komisarz ziemski, starostowie i komisarze powiatów śremskiego, poznańskiego i średzkiego, burmistrz Kórnik i inni. Wojewoda dr Widy-Wirski po przybyciu oświadczył, że jest także reprezentantem prezydenta Bieruta, otrzymał bowiem takie telefoniczne polecenie. Prymas nie przyjechał, ani nie przysłał reprezentanta.

Tego dnia było już wczesne popołudnie, poznańscy i okoliczni goście już się zjeżdżali, przybywały też zespoły dożynkowe, a naszych krakowiaków nie było widać. Szczególnie denerwował się prof. Lisowski. Nareszcie był telefon z dworca, że przyjechali i proszą o jakikolwiek pojazd, wiedzieli bowiem, że od zamku dzieli ich jeszcze 5 kilometrów. Przywiózł ich Józef Nowak, mimo poważnego wieku prawdziwy wzór woźnicy, wspomnianą już bryczką jednokonną, w której trzej kuratorzy ledwo się mieścili. Po prawie całodobowej podróży tak byli zakurzeni, zarośnięci i zmęczeni, że poprosiłem ich do Dziećmierowa, gdzie czekały na nich pokoje gościnne i opieka znakomitej gospodyni w osobie Jadwigi Leisznerowej, matki administratora, jak wówczas nazywano kierownika gospodarstwa. Przed piątą wrócili już odświeżeni i odżywieni w samą porę, aby wziąć udział w obchodzie dożynek.

Część trawnika przed zamkiem (trawnik był wtedy znacznie bliżej schodów niż obecnie) przykryto deskami, tworzącymi podłogę, na której odbywały się tańce. Tam zebrały się grupy taneczne w strojach ludowych z wszystkich majątków. Przywiozły one także wieńce dla członków Kuratorium i dla znaczniejszych gości. Po wysłuchaniu Moniuszki *Po nocnej rosie* w wykonaniu zespołu ze Szczodrzykowa otworzyłem uroczystość krótkim przemówieniem, witając gości, członków Kuratorium i żniwiarzy. Jako drugi przemawiał mgr Trepieński, wicestarosta śremski. Specjalny wieniec z białym orłem przygotowany dla prezydenta Bieruta otrzymał wojewoda, który podziękował wzruszającym przemówieniem. Później w czasie skromnego posiłku dłuższe przemówienie wygłosił rektor Dąbrowski, obszernie wspominając znanego mu osobiście fundatora Władysława Zamoyskiego. Po obrzędowych śpiewach, wręczeniu dalszych wieńców i popisach tanecznych rozpoczęły

się tańce ogólne, w których brali udział dosłownie wszyscy. Była to po prawie sześciu latach wojny i morderczej okupacji pierwsza taka uroczystość i zabawa, toteż mimo początkowego wzruszenia bawiono się rzeczywiście ochotczo aż do zupełnej ciemności. Ani teren przed zamkiem, ani ulica nie były wtedy jeszcze oświetlone.

Następny dzień, niedziela 16 września 1945 r., był poświęcony właściwym obrodom Kuratorium. O godzinie 10 otworzyłem pierwsze po sześciu latach posiedzenie. Zdałem na nim sprawę z moich czynności tymczasowego kuratora, jak i z całości kształtu działalności Fundacji w pełnym napięciu i przeżyć półroczu od marca do września tego pamiętnego roku. Oświadczyłem też, że przez sam fakt zebrania się Kuratorium skończyły się moje funkcje tymczasowego kuratora.

Przebieg posiedzenia, powzięte na nim uchwały i ich realizacja należą już do następnego rozdziału dziejów Fundacji. Mógłbym na tym zakończyć moje wspomnienia.

Nie mogę jednak powstrzymać się od wzmianki o drobnym epizodzie, który przydarzył się po posiedzeniu, a został mi opowiedziany przez Edwarda Prusińskiego.

Ukończywszy czynności służbowe związane z posiedzeniem Kuratorium siedział on w stronę placu Niepodległości. Kilkadziesiąt metrów przed nim krokiem spacerowym szli prof. Piwarski i doc. Bodniak, obaj historycy i socjaliści. Prusiński, zmęczony właśnie co zakończoną imprezą nie miał zamiaru ich doganiać, więc w tym samym tempie siedział za nimi. Także wtedy, gdy skręcili w prawo w kierunku ulicy Średzkiej, a tym samym kościoła parafialnego. Gdy byli już na narożniku ul. Średzkiej, z plebanii na taras przed nią wyszedł kardynał-prymas Hlond w towarzystwie ks. dr. Edmunda Majkowskiego, proboszcza kórnickiego i znanego numizmatyka. Obaj historycy uklonili się, a na zapraszający gest ks. Majkowskiego szybko podeszli i ugiąwszy kolana usiłowali pocałować pierścień biskupi na prawicy prymasa! Prusiński stanął jak wryty — zaskoczony samym faktem zjawienia się kardynała w Kórniku po posiedzeniu, jak i czołobitnym powitaniem go przez obu historyków. Prymas był prawdopodobnie nie mniej zaskoczony ich zachowaniem się, chociaż zapewne nie wiedział, kim są ci dwaj panowie. Profesorowie widocznie zawstydzili się swojego mimowolnego odruchu, bo już za chwilę się wycofali — wielce skonfundowani, jakby napisał Sienkiewicz — a ja nigdy nie dowiedziałem się od doc. Bodniaka, czy i o czym rozmawiali z prymasem.

Do dziś żałuję, że nie widziałem tej scenki.

Post scriptum: Bieg wydarzeń i natłok wspomnień zmusił mnie raz i drugi do przeplatania różnych wątków. Aby nie stwarzać jeszcze większego „materiału mieszanego” wiele spraw pomniejszych całkowicie pominąłem, jak np. pracochłonne zestawienia szkód wojennych dla uzyskania odszkodowania, które nigdy się nie zrealizowało, albo starania o ciężarówki dla stworzenia przedsiębiorstwa transportowego, co dało ostatecznie kilka wozów dla własnych potrzeb Fundacji.

Nie mogę jednak całkowicie zakończyć bez wspomnienia o tym, że w maju roku oswobodzenia przyszedł do mnie w Poznaniu radziecki pułkownik - lekarz, komendant szpitala wojskowego, prosząc o zgodę na łowienie ryb w jeziorach fundacyjnych dla zaprowiantowania rannych i chorych żołnierzy. Obiecywał dostarczyć w zamian

kilka cystern ropy potrzebnych nam do napędu ciągników. Oczywiście zgodziłem się, prosząc jedynie o przestrzeganie wymiarów ochronnych ryb i pilnowanie, aby inne jednostki wojskowe nie głużyły ryb granatami ręcznymi i minami. Rybakom fundacyjnym poleciłem udostępnić tej jednostce szpitalnej potrzebny sprzęt. Korzystała z niego umiarkowanie, głównie z łodzi, mając sporo własnych sieci. Wymiarów ochronnych łowiący żołnierze nie bardzo przestrzegali, ale ropę szpitalowi rzeczywiście dostarczył w znacznej ilości. A jesienią przed wyjazdem przekazał Fundacji kilka ciągników (o ile dobrze pamiętam to 8) „Lanz-Bulldog” o kolosalnej dla nas wartości, ponieważ nie było czym ziemi uprawiać dla niedostatku siły pociągowej. Ciągniki i ropa przedstawiały niewątpliwie wartość znacznie większą niż złowione ryby.

Sądzę, że obraz tamtych czasów w ramach Fundacji byłby niekompletny, gdyby zabrakło wzmianki o tej współpracy rybno-traktorowej.

